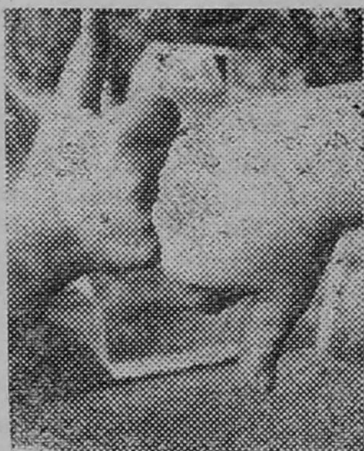




3
**kamienny
biznes**



6
**gorzki smak
samorząd-
ności**



11
**przeszłość
na łaskawym
chlebie**



**lato
po polsku**

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY PISMO PZPR

PL ISSN 0208-6840

33

(357)

KONTAKTY
1987-08-16

cena
20 zł



Fot. GABORA LÖRINCZEGO

GABRIELA SZCZESNA

przedsiębiorce nadziei

Władysław Tocki

szklane sklepy

Dziwi się towarzysz prezes Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Śniadowie.

Zdumiona jest towarzyska sekretarz KG PZPR.

Zaskoczenie ożywia zmęczoną twarz towarzyszek naczelnik.

— Ciągłe byliśmy w temacie! Czego on chce?

— Cały czas piełam, żeby ten problem rozwiązać!

— Wszyscy chodzili wokół tej sprawy!

— A on może jeszcze wciąż z tym swoim smalcem, widłami, chlebem?

- Jeszcze.
- I autorytetem?
- I autorytetem.
- W dodatku partii?
- W dodatku.
- Niepojęcie!

On zaś, towarzysz rolnik, Antoni Chojnowski z Kozik, podtrzymuje: — Najpierw dostałem kopa od obcych. Potem od swoich. Pierwszy był jak najbardziej dosłowny.

Więc ten smalec. Głupia sprawa: sprzeczka ze sklepową o papier do pakowania. On słowo, ona słowo. Postraszył prezesem.

— Leć nawet do tej swojej partii!

— usłyszał.

Nasłuchał się od pięćdziesiątego dziewiątego: „Ty partyjniak, co z tym dobrobytem”; naczernieniał za towarzyszy prominentów po każdym zakręcie; nauczył spokoju. Ale teraz odpalił: — Od partii to się odpieprz!

Chwył za kark i kop, po którym znalazł się za drzwiami, zabrał młodemu „sędziemu” pyskówki nie więcej, jak trzy cztery sekundy.

Po skardze, którą przypieczętował wcześniejsze, po interwencjach w województwie, przyszło pismo: obywatelka sklepowa „złożyła rezygnację z dalszego prowadzenia sklepu z uwagi na wychowanie dzieci i utrzymanie 14 ha gospodarstwa rolnego”. Sklep mieścił się w jej domu, wywodziła więc lokal. Koziki i cztery sąsiednie wsie zostały nagle zmuszone do jeżdżenia po każdy kawałek chleba do Łomży lub Śniadowa.

Pojechał do prezesa. Prezes pięknie, ładnie: nic przeciw. Wszystko za.

W NASTĘPNYM
NUMERZE:

„Cienka nić Ariadny”, czyli opisanie niezłomnego
♦ „Bez wyczekiwania” — rozmowa o pierestrojce po tatarsku ♦ zabawa w huśtawkę, czyli „Wstyd” ♦ prokuratorskie tropy „Śladem krzywdy” ♦ „Mieć czy być, czyli dylemat myślącego Polaka”.

GOSPODARSKIE WIZYTY w terenie (piątek, 7 bm.) złożyli w Sokolach — I sekretarz KW PZPR, Mieczysław Czerniawski i dyrektor Wydziału Budownictwa UW, Czesław Kołodziejczyk; w Kobylinie Borzymach — sekretarz KW Jan Jamiołkowski i wicewojewoda Zdzisław Truszkowski; w Turośli — przewodniczący WKK-R Sławomir Grygo i wicewojewoda Eugeniusz Mioduszeński. Przedstawiciele władz interesowali się przebiegiem żniw oraz letnim wypoczynkiem dzieci i młodzieży.

TRUDNE ŻNIWA nie osiągnęły jeszcze półmetka. Do końca ubiegłego tygodnia skoszone zboże z 35 proc. powierzchni obsianego arealu (w tym żyto z 40—45 proc. powierzchni). Prace najbardziej zaawansowane są w gminach północnych (Kolno, Grajewo, Łomża) oraz nadbużańskich. W sobotę pojawiły się na polach pierwsze kombajny. Do magazynów Państwowych Zakładów Zbożowych do 10 sierpnia dotarło 1585 ton rzepaku (220 ton z województwa łomżyńskiego, reszta z suwalskiego) i 175 ton zbóż. Częste opady powodują dużą wilgotność dostarczanego ziarna.

REWEŁACYJNIE zapowiada się początek września w Łomży. Zbiegają się wówczas trzy ważne okazje: dzień wyzwolenia Łomży, dożynki wojewódzkie i święto „Gazety Współczesnej”. Łomżyniacy i goście będą mogli już od 1 września uczestniczyć w interesujących imprezach, m.in. spotkaniach z dziennikarzami i znakomitymi krajanami, festynach rekreacyjnych i zawodach sportowych (bieg z okazji wyzwolenia Łomży, mecz piłkarski dziennikarzy — władze), spektaklach teatralnych, koncertach zespołów rocko-

wych, konkursach, jarmarkach, giełdach itp. W dniu 6 września na Starówce otwarty zostanie Jarmark Nadnarwiański; na 10 i 11 września Stronnictwo Demokratyczne zapowiedziało „Dni literatury SD” z sesją „Literatura i demokracja” (referaty Janusza Termiera, Cezarego Leżeńskiego i Jana Kulki) oraz występami Zbigniewa Zapasiewicza (będzie recytował wiersze Zbigniewa Herberta z tomu „Pan Cogito”) i Wojciecha Siemiona; 12 września na uroczystej sesji Miejskiej Rady Narodowej i Rady Miejskiej PRON zasłużeni w pracy i działalności społecznej uhonorowani zostaną odznaczeniami. Trwają przygotowania do widowiska dożynkowego (13 września na stadionie miejskim); organizatorzy twierdzą, że będzie to największa z dotychczas oglądanych przez miasto imprez. Szczegóły wkrótce na plakatach i w „Gazecie Współczesnej”.

CIEPŁA WODA dotrze do domów mieszkańców Łomży i Zambrowa najpóźniej 14 sierpnia. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej zakończyło remonty sieci i wymienników we wszystkich miastach województwa. Do 15 września trwać będą jeszcze remonty kotłowni ciepłowniczych.

MŁODZIEŻ ze wsi Kozarze w gminie Ciechanowiec chce wyremontować w czynie społecznym starą remizę (ma tam powstać klub) i ogrozić boisko sportowe. Szuka sojusznika w Związku Młodzieży Wiejskiej.



PO RAZ ÓSMY odbył się polsko-węgierski spływ kajakowy im. Józefa Bema. Trasa wiodła wodami Biebrzy i Narwi do Ostrołki. Jednym z etapów była Łomża, gdzie 22 uczestników z Budapesztu powitał działacz Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej.

NA 14460 MEZCZYŹN w wieku 20—29 lat, mieszkających w łomżyńskich wsiach, przypada tylko 10439 kobiet w tym samym wieku.

PO KILKASET TYSIĘCY, a nawet milion, zarabiają najlepsi zbieracze „Herbapolu” i ich rodziny. Najwięcej ziół trafia do punktów skupu we wsiach położonych nad Biebrzą. Właśnie trwa szczyt zbiorów skrzypu, piołunu i rdestu ptasiego.

PO PRZERWIE spowodowanej trudnościami z papierem ukazał się kolejny numer „Wiadomości” — biuletynu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Na szczególną uwagę zasługują wspomnienia Mieczysława Baranowskiego o mało znanym hitlerowskiej zbrodni we wsiach Krzewo i Budy Pniewskie oraz artykuł Jacka Cholewickiego o wielkiej europejskiej karierze drożdżowego piwa (niestety w XIX wieku).

AZ 36 POŻARÓW dotknęło w lipcu indywidualne gospodarstwa rolne w województwie łomżyńskim. Najgroźniejsze z nich wybuchły w Wojsławicach (gm. Grabowo), Żebrach (gm. Wąsosz), Stuczach (gm. Radziłów), Leszczach Dużych (gm. Perlejewo) i Grabówce (gm. Zambrow). Najczęstszymi przyczynami pożarów były: niewłaściwe składowanie nawozów sztucznych i siana, nieprzestrzeganie przepisów przeciwpożarowych podczas korzystania z urządzeń elektrycznych oraz pozostawianie dzieci bez opieki.

GRZYBIARZE mają swoje żniwo. 12-letnia Sylwia Piórkowska z Łomży, zbierając z ojcem grzyby w lesie koło wsi Koziki, natknęła się na 2-kilogramowego „osaka”.

DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY „To tu” przy MDK-DST w Łomży zaprasza w czwartek, 13 sierpnia, do kina „Millennium” na film Janusza Zaorskiego „Matka Królów” (początek o godz. 16.00). Kierownictwo klubu przeprasza zainteresowanych, że projekcja tego filmu nie doszła do skutku w ubiegłym tygodniu. Niedługo opublikujemy nowy program DKF-u na sezon 87/88.

KOLEJNE SZCZĘŚLIWE losy „Kontaktowej” i nagrody: radiodioda, biorniki stereo i zwykłe, robot kuchenny, lampa stojąca, koldra. Nabywcy losów pochodzą m.in. z Białegostoku, Moniek, Łodzi, Łomży, Świętąjny, Warmiaka, Boćków, Grajewa. Szczęśliwcy swemu zawierzają, kto po „Kontaktową” zmierza!!!

PYTANIE
DRAŻLIWE

Wojewódzki Urząd Statystyczny formułę w ostatnim komunikacie, że przeciętna powierzchnia mieszkania oddanego do użytku w I półroczu br. zmniejszyła się o 8,3 proc. i spadła poniżej przeciętnej krajowej. Dotychczas wskaźnik ten, stale rosnący, był atutem naszego budownictwa. Co się stało?

CZESŁAW KOŁODZIEJCZYK, dyrektor Wydziału Budownictwa Urzędu Wojewódzkiego w Łomży: — Nie ma powodów do niepokoju. Po prostu mamy do czynienia z pewnym zbiegiem wydarzeń: w I półroczu tego roku w budownictwie zakładowym oddano wyjątkowo mało mieszkań, a właśnie tam buduje się lokale największe. Również spółdzielczość przekazała w tym czasie dużo mieszkań mniejszych, czyli więcej M-4, niż M-5. W rezultacie efekt jest taki, jak podano w komunikacie WUS-u, lecz nie znaczy to wcale, że powierzchnia mieszkań będzie maleć: do końca roku na pewno powrócimy do poprzedniej wielkości — 59 metrów kwadratowych.

z przyjaznych
szpalt

O delegacjach pracowników łomżyńskich SKR-ów do hut w tygodniku „ITD” pisze Tomasz Kubaszewski:

„W 1983 roku do Zarządu WZRRIOR w Łomży zgłosił się przedstawiciel Huty im. Lenina z propozycją współpracy. Za oddelegowanie do huty swoich pracowników, SKR miały otrzymać stał...”

— Zgodziłem się pojechać — mówi pan Andrzej, pracownik SKR w Nowogrodzie, który nazwisko podaje tylko do wiadomości redakcji — bo przez zapewnienie, że to opłaci się i firmie, i mnie. W sumie każda praca jest dobra, byle dobrze zapłacić. Okazało się, że robota ciężka, żmudna i człowiek musi wdechować różne smrody, a ja jestem przyzwyczajony do pracy na świeżym powietrzu. [...] Ja tam nie jestem taki zasadniczy — wtrąca jeden z przysłuchujących się pracowników SKR, który również był w Nowej Hucie, lecz po miesiącu wrócił. — Wstyd się przyznać, ale gdy zaprowadzili mnie na wielką halę, nie wiedziałem, jak później wyjść. Mieszkanie w hotelu też nie dla mnie, każdy ma tam swoje problemy, ludzie jacyś ospali, skryci, ożywiają się dopiero przy jasności. «Wypić to ja mogę i w domu», pomyślałem sobie. Tęskno już było do rodziny. Wstałem w porę i przyjechałem. [...] Fabryki nie lubią chwalić się za trudnieniem delegatów, bo — jak mówi dyrektor dużej huty na Śląsku — praktyki takie zawsze będą miały posmak handlu żywym towarem.

Doktor Andrzej Malanowski z Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu w Lublinie, że art. 42 § 4 kodeksu pracy dopuszcza możliwość wypożyczania pracowników.

— Zakład może w uzasadnionych swoich potrzebach przypadkach — mówi — powierzyć pracownikowi inną pracę niż określona w umowie, nie dłużej jednak niż na 3 miesiące [...] i najważniejsze, za jego wyraźną zgodą.”

zdanie tygodnia

— Niewiarygodna jest żywotność i umiejętność przystosowywania się pochlebców i do nowych warunków, i do nowego kierownictwa.

Borys Jelcyn, I sekretarz Moskiewskiego Komitetu Miejskiego KPZR

myśl z atestem

„Pomyłka staje się dopiero wówczas błędem, gdy się przy niej obstaje.”

Ernst Junger

na gorąco

Nie ma niczego odkrywczego w twierdzeniu, że przedsiębiorstwo jest podstawową komórką gospodarki, że tam właśnie — a nie w zjednoczeniu i ministerstwie — powstają: towar, zarobek, postęp techniczny. Myśl tę powtarzamy dostatecznie często, by dotarła do świadomości każdego. Znacznie gorzej jest natomiast z wiedzą, jak to wszystko działa. Do niedawna zadowalaliśmy się informacją, czy plan wykonano, czy nie; teraz nie wystarczy już wiedzieć, ile wyprodukowano, ważniejsze staje się pytanie: za jaką cenę. Słowem: jaki użytek robią państwowe firmy z powierzzonego im społecznego majątku. Stąd duża popularność sporządzanej przez miesięcznik „Zarządzanie” listy 500 największych przedsiębiorstw przemysłowych w Polsce, która daje wspaniałą okazję podejrzenia tego, co dzieje się u krajowych potentatów.

Wojewódzki Urząd Statystyczny w Łomży zaproponował ostatnio rodzimą odmianę takiej listy, ze zrozumieliśmy, że jej znaczenie skromniejsze: ograniczoną do pięciu przedsiębiorstw.

Pod względem wartości sprzedanej produkcji nasze wojewódzkie „giganty” można ustawić w następującej kolejności: Łomżyńskie

NASZA LISTA „5”

Przedsiębiorstwo Przemysłu Bawelnianego „Narew”, Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży, Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawelnianego, Zakłady Płyt Włókowych w Grajewie, Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska w Grajewie. Przed rokiem kolejność była identyczna. Nasza „piątka” sprzedała wyroby łącznej wartości ponad 29 miliardów złotych, co stanowi 42,6 proc. produkcji przedsiębiorstw uspołeczniionych całego województwa.

Jeżeli za kryterium porządkujące przyjmujemy akumulację (dochód, stanowiący różnicę między wpływami ze sprzedaży a kosztami wytworzenia towaru), pierwsze trzy miejsca nie zmieniają się, „Płyty” przesunęła się o „oczko” niżej, na czwartą pozycję awansują Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Wysokiem Mazowieckiem. Warto dodać, iż firma ta zajmuje dopiero dwudzieste miejsce pod względem wielkości produkcji. Tajemnicą dużej akumulacji są niskie koszty i wysoka cena przynajmniej jednego produktu. Mleczarnie w tej konkurencji są na szarym końcu, ponieważ przynoszą planowe straty.

Część wypracowanego dochodu trzeba przeznaczyć na podatek obrotowy. Największy płaci PPS, następ-

nie „Narew”, ZPO-W w Wys. Maz., ZPW i na upiętym miejscu nowa firma: zambrowski oddział Zakładów Mechaniczno-Przemysłowych „Mera Błonie”. Wyjaśnia się tajemnica wysokomazowieckiej przetwórci: produkuje wino, stąd jednocześnie duża akumulacja i podatek. Po porównaniu dwóch sąsiednich tabel dochodzimy do, z pozoru absurdalnego, wniosku: nasza „piątka” więcej wpłaciła do budżetu państwa (2975,5 mln złotych) niż wypracowała dochodu (2908,1 mln), a rekord pobiło PPS, które zapłaciło dwukrotnie wyższy podatek obrotowy niż zarobiło na sprzedaży własnych wyrobów. Niemożliwe? Nie u nas: tajemnica tkwi w dotacjach.

Najwięcej dopłat z budżetu otrzymało w 1986 r. właśnie Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego. Następnie w kolejności były oczywiście cztery największe spółdzielnie mleczarskie: w Grajewie, Zambrowie, Wysokiem Mazowieckiem i Kolnie. U wszystkich dotacje wzrosły, a w PPS-ie ponad dwukrotnie: z 662,4 mln w 1985 r. do 1508,8 mln w 1986. W sumie „piątka” otrzymała 4936,4 mln, czyli 67,1 proc. dopłat całego województwa. W przypadku Łomżyńskiego chodzi o tzw. dotacje przedmiotowe, tzn. do pro-

duktów, na które państwo świadomie utrzymuje ceny niższe od kosztów produkcji (np. mleko i mieszanki paszowe). Niby wszystko w porządku, choć w praktyce nigdy nie można precyzyjnie wykreślić granicy między kosztami uzasadnionymi a zwykłą niegospodarnością. Nie obowiązują bowiem żadne stałe reguły rozdziału dotacji. Stawki ustalane są z roku na rok, przeważnie na podstawie kalkulacji przedstawionych przez producenta.

Po zaplaceniu podatku obrotowego i przyjęciu dotacji pozostaje zysk. W tej klasyfikacji również przewodzi PPS przed „Narwią”, zambrowską „Bawelnią”, mleczarnią w Grajewie i „Płytami”. Pierwsza piątka osiągnęła 37,8 proc. zysku całego województwa, tzn. 2134 mln, z czego 1163 powędrowało do państwowej kasy jako podatek obrotowy. Dziwi tak wysoka pozycja grajewskiej SM, która przecież na siebie nie zarabia.

Jakie wnioski wypływają z tej krótkiej analizy? Na pierwszy rzut oka trudno znaleźć jakąś sensowną regułę porządkującą, bo co można myśleć o gospodarce, w której przedsiębiorstwo (chodzi o PPS) osiąga najwyższą wartość produkcji, płaci podatek ponad dwukrotnie większy od dochodów, otrzymuje ogromną dotację, pozwalającą osiągnąć najwyższy w województwie zysk, z którego płaci największy podatek dochodowy. Bardziej skomplikować już chyba nie można. (jon)



bez makijażu

— Uszy i palce w złocie, pewnie kłóskowskie ciuchy — to przede wszystkim rzuciło mi się w oczy u junaczek z OHP, kiedy przyszły zaliczyć kurs z przepisów o bezpieczeństwie i higienie pracy — mówi Henryka Rybaczyk, kierowniczka kadr w Łomżyńskich Zakładach Spożywczych.

W autobusie, wożącym młodzież z Łomży do zakładu przetwórstwa w Chojnach, makijaż mają jedynie panie wychowawczynie. Dziewczyny są blade i raczej szaro ubrane. To skutek „oczyszczającego” działania pracy fizycznej. Dziewczeta i chłopcy z łomżyńskich szkół średnich przez trzy tygodnie pracowali przy przebieganiu truskawek, jagód, kurerek i czarnych porzeczek. Skończył się turnus. Pora na refleksje.

— Jesteśmy z ogólniaka. Do OHP byliśmy kierowani przymusowo: „Jeśli nie pójdziesz do OHP, nie zdasz matury”. Co prawda nikt nie powiedział tego wprost, ale tak zrozumieliśmy „zachętę” do zapisywania się na listę „ochotników”. Śmieszna jest ta hufcowa biurokracja: wybory przewodniczącego, zastępcy, sekretarza. Więcej jest gadania o pracy niż faktycznej roboty.

— Praca nie jest najgorsza, ale to traktowanie... Pracownicy zakładu nadużywają niecenzuralnych słów.

— Za byle co potracają premie. Możesz pracować bez przerwy nawet przez cztery godziny; zechcesz chwilę odpocząć, jeśli zauważą, zaraz straszą potraceniem premii.

Walentyna Skrodzka, opiekująca się młodzieżą z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Łomży, podziela pogląd, że metoda wychowywania przez pracę jest słuszną. Powinno być to oczywiste również dla młodzieży. — Jednak gdyby ktoś odmówił udziału w OHP, w szkole nie spotkał go jakiegokolwiek konsekwencji — zapewnia.

Henryk Zieliński, dyrektor Zespołu Szkół Drzewnych w Łomży: — W porównaniu do zajęć w warsztatach szkolnych, praca w przetwórnictwie jest lekka.

W Łomżyńskich Zakładach Spożywczych nie ukrywają, że dziesięćdziesięcioosobowe turnusy junaków ratują produkcję. Trudno w sezonie urlopowym (który u nich jest sezonem intensywnej pracy) znaleźć siłę roboczą. Wychodzą z założenia, że jeśli uczniowie się dopilnuje, to praca zostanie wykonana. Mają nadzieję, że coraz rzadziej na groźbę potracenia premii słyszeć będą riposty: „Nie chodzi mi o pieniądze; tata był w Ameryce, do końca życia nie muszę pracować”. (W.K.)

Rozmowa z Tadeuszem Janczewskim, przewodniczącym Rady Nadzorczej w PSS „Społem” w Wysokiem Mazowieckiem.

MARIA KACZYŃSKA: — Panuje opinia, że rady nadzorcze w spółdzielniach to ciała martwe. Czy pan się z tym zgadza?

TADEUSZ JANCZEWSKI: — Nie, skąd! W każdym razie nie u nas. Zainteresowanie tym, co się dzieje w spółdzielni, wykazują wszyscy członkowie, a jest ich dwa tysiące. Rada Nadzorcza zbiera ich opinie i uwagi, przekazuje Zarządowi; kontroluje tak zwaną politykę Zarządu.

— Czy macie dostateczną ilość informacji o tym, co się w spółdzielni dzieje?

— Co trzeba, na pewno wiemy. Mówiąc poważnie: Zarząd przekłada nam obowiązkowo sprawozdania ze swej działalności.

— Nie jesteście fachowcami. Skąd macie pewność, że są to informacje rzetelne?

— Nie interesują nas szczegóły. Jeśli chodzi o zgodność działalności z prawem, polegamy całkowicie na opiniach lustratorów z centrali „Społem”, którzy na bieżąco kontrolują papiery; efekty ekonomiczne możemy zweryfikować na podstawie sprawozdań banku. „Rozliczamy”, jeśli tak można powiedzieć, Zarząd przede wszystkim ze społecznych efektów działalności spółdzielni, a tu naprawdę niewiele da się ukryć. Handel jest na cenzurowanym. Najlepszy dowód: parę lat temu miały miejsce pewne nieprawidłowości, o których pisałyśmy w waszej gazecie.

— Afera dywanowa?

— Tak. Handel to dziedzina, w której każda nieprawidłowość na-

tychmiast rzuca się w oczy i wywołuje społeczne niezadowolenie.

— Jednak wówczas nie zapobiegliście nieprawidłowościom...

— Jestem przewodniczącym Rady Nadzorczej dopiero od trzech lat. Nie mam prawa, ani nie widzę potrzeby, wypowiadać się na temat tego, co było wcześniej.

— A jak jest teraz?

— Mamy kłopot, bo odszedł bardzo dobry prezes Zarządu. Znaleźć właściwego człowieka na to stanowisko w takim mieście, jak Wysokie (7000 mieszkańców), to duży problem. Był już jeden kandydat, przepadł w tajnym głosowaniu. Zdaniem członków Rady Nadzorczej nie nadawał się.

łowy na prezesa

— A pana zdaniem?

— Ja osobiście byłem jego zwolennikiem.

— Jaki, według pana, powinien być ten kandydat?

— Powinien chcieć coś zrobić dla środowiska, dla ludzi. To w dzisiejszych czasach wymaga wielkiego poświęcenia. Nie sądzę, żeby ktoś obcego, kto przyjdzie z zewnątrz lub, nie daj Boże, będzie dojeżdżał do pracy, stać było na taki wysiłek.

— To co zrobicie?

— Nie wiem. Niech się teraz martwi o to nasza jednostka nadzorcza i inne czynniki. To jest stanowisko z nomenklatury.

— Co spółdzielnia może jeszcze zrobić dla miasta?

— Potrzeby są ogromne. Mamy wprawdzie najlepszy w województwie wskaźnik powierzchni sklepów w stosunku do liczby mieszkańców, ale to nie znaczy, że jest dobrze. Przydałoby się więcej ładnych, nowoczesnych lokali, dobrze wyposażonych. W interesie miasta byłoby też wybudowanie masarni. Na to się jednak w najbliższym czasie nie zanoś. Dużym sukcesem „Społem” jest uruchomienie w tych dniach nowej piekarni wraz z ciastkarnią.

— Czy spółdzielnia stać na nowe inwestycje?

— Gdyby liczyła tylko na własny fundusz rozwoju (ok. 5 milionów złotych rocznie), to nie bardzo. Ale zawsze są inne możliwości: można

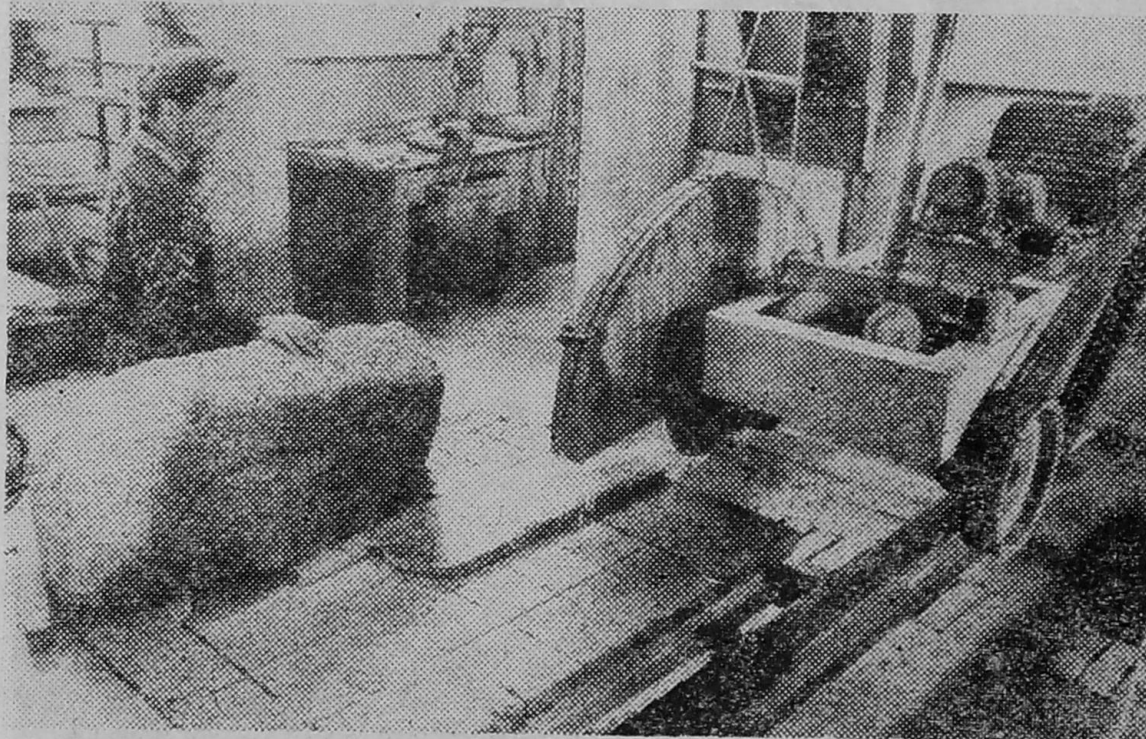
zaciągnąć pożyczkę w naszej centrali lub uzyskać kredyt bankowy. Myślę, że pieniądze jakoś by się znalazły. Gorzej z przygotowaniem inwestycji: dokumentacją, terenem, wykonawcą. Te trudności pokonać może tylko doświadczony i zdecydowany na wszystko prezes. Wiem coś o tym, bo sam przed laty, jako prezes GS-u w tym mieście, budowałem dom handlowy.

— Jest więc pan doświadczonym spółdzielcą. Jaka ma pan dziś motywację do społecznej działalności?

— Przez całe życie byłem aktywny; nie potrafię już myśleć inaczej, jak w kategoriach interesu naszego miasta.

— Życzę satysfakcji.

KAMIENNY BIZNES



Fot. GABORA LÖRINCZEGO (jak i wszystkie nie podpisane zdjęcia w numerze)

Podobno dobry biznesmen potrafi wyciągnąć forszę nawet z kamienia. Firma „Hanytan” potraktowała ten slogan dosłownie i od czterech lat próbuje zarobić na obróbce kurpiowskich kamieni. Głazy, zalegające pola, są prawdziwym przekleństwem, a wschodnia część woj. łomżyńskiego jest nimi gęsto usiana; właściwie wszystkiego tam brakuje oprócz właśnie kamieni. „Hanytan” nie sięga więc po bogactwa głęboko ukryte, lecz po to, co znajduje się pod ręką i co dotychczas sprawiało tylko kłopoty. Ma przynajmniej pewność, że podstawowego surowca nigdy mu nie zabraknie. Na początku trzeba surowiec zdobyć: przywozić go do punktów skupu sami rolnicy. Kamienie zebrane z powierzchni nadają się jedynie do zmielenia na grys. Najbardziej pożądane są te schowane tuż pod ziemią. Thie się je diamentowymi pilami, aby uwolnić z ich wnętrza wzory i barwy, o jakie nigdy byśmy ich nie podejrzewali. Tak powstają kolorowe płyty na posadzki, ściany, pomniki i kominki.

Właścicielem firmy jest szwedzki przemysłowiec Jens Hansen, posiadający w Polsce 5 zakładów (od Warszawy po Zamość), które produkują kosmetyki, farby i materiały budowlane. Wszystkim radzi generalny dyrektor — pełnomocnik w stolicy. Zakład kamieniarski ulokowano w Kątach (gm. Mały Połek), choć były również i inne kandydatury. Przeważała możliwość korzystania z poseskaerowskich budynków i sporego placu. Przystosowanie ich do nowej roli trwa już cztery lata i właśnie dlatego firma nie może ruszyć pełną parą. Na razie dopłacają do niej dobrze prosperujące zakłady w innych częściach kraju. Podstawowy problem polega na doprowadzeniu energii elektrycznej, a także wody. Technologia cięcia kamienia wymaga całych jej ton. W rejonie Małego Płocka zalega ona za głęboko, nawet dla studni artestyjskich. Woda dowożona beczkowozami kosztuje 1,25 złote za litr i jest rozwiązaniem doraźnym. Trzeba ratować się stosowaniem obiegu zamkniętego i zbieraniem deszczówek. Rok bieżący ma być w krótkiej historii łomżyńskiej filii „Hanytan” przełomowy: być może po raz pierwszy wyjdą na swoje. Wprawdzie szwedzki właściciel podczas ostatniej wizyty w Kątach wyraził zadowolenie z postępu prac, lecz w końcu mógłby stracić cierpliwość.

Na brak zamówień nie narzekają. Popyt na płyty chodnikowe i posadzkowe, parapety, pomniki i usługi kamieniarsko-betonarskie nie skończy się nigdy. (jon)

KONKURS KUCHNIA PODLASKO-KURPIOWSKO-MAZOWIECKA

ROZSTRZYGNIĘTY

Ogłoszony przez redakcję „Kontaktów” i Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze „Stopka” w Łomży konkurs na zestaw dań i napojów według tradycyjnych receptur kurpiowskich, podlaskich i mazowieckich spotkał się ze znacznym zainteresowaniem. Wpłynęło 101 prac od autorów z całego kraju, w tym kilkudziesięć zawierających po kilkaset oryginalnych, choć już najczęściej, zapomnianych przepisów, charakterystycznych dla dawnej kuchni na terenie środkowej i północno-wschodniej Polski.

Jury w składzie: Irena Gumowska („Życie Warszawy”) — przewodnicząca, Alicja Zagórska („Trybuna Ludu”) i Jan Kwasowski (SSP „Stopka”), po-

dokładnym zapoznaniu się z nadesłanymi pracami, postanowiło przyznać trzy równorzędne nagrody po 10 tysięcy złotych:

Marynie Kościukiewicz z Michałowa (woj. białostockie), Annie Gołąbek z Suwałk i Wandzie Dytko z Katowic.

Ponadto 10 wyróżnień po 3 tysiące złotych otrzymują: Zofia Jurkowska-Pociecha z Gródka nad Dunajcem (woj. nowosądeckie), Wioletta Sadowska z Dzierzgowia (woj. ciechanowskie), Krystyna Cieśluk z Lipska (woj. suwalskie), Janina Puła z Wrocławia, Wanda Żyłka z Międzyrzecza Wielkopolskiego (woj. gorzowskie), Halina Bogu-

ska z Jarnut (woj. łomżyńskie), Maria Sudnik z Sokołowa Podlaskiego, Jadwiga Popereka z Kozłowa (woj. wrocławskie), Elżbieta Przychodaj z Krasnegostaw (woj. chełmskie) i Adolf Ludwik z Komorowa (woj. króśnieńskie).

Organizatorzy dziękują serdecznie wszystkim uczestnikom konkursu. Wobec wysokiego poziomu licznych prac, dokumentujących bogactwo kuchni regionalnej, podejmą starania o opracowanie planu konkursu i wydanie go w formie książkowej. Uroczyste wręczenie nagród laureatom odbędzie się w listopadzie br. w Łomży z udziałem szefów kuchni najlepszych restauracji z Mazowsza i Podlasia.



OSTATECZNA DECYZJA

W odpowiedzi na skargę Stanisława Kropiewnickiego („Kontakty” nr 15/87), dotyczącą uregulowania stanu prawnego nieruchomości rolnej o powierzchni 8,75 ha, położonej we wsi Franki Dąbrowa, uprzejmie informuję, co następuje:

Sprawa Stanisława Kropiewnickiego była wielokrotnie badana przez Ministerstwo Rolnictwa, Leśnictwa i Gospodarki Żywnościowej. W wyniku rozpatrzenia składanych skarg organ naczelny wyjaśnił Stanisławowi Kropiewnickiemu zasadność swego stanowiska w przedmiocie uregulowania własności spornej nieruchomości na rzecz Konstancji Kropiewnickiej.

W tej sprawie organ naczelny wypowiedział się w decyzji z dnia 14.02.1986 r. oraz w piśmie z dnia 22.05.1986 r., podając powody, dla których skarga Stanisława Kropiewnickiego nie może być uwzględniona.

Jednocześnie informuję, iż spowodowałem przekazanie akt sprawy do Prokuratury Generalnej PRL celem zbadania legalności wydanych w tej sprawie decyzji organów administracji państwowej.

Dr inż. STANISŁAW SŁIWIŃSKI
podsekretarz stanu
Ministerstwa Rolnictwa, Leśnictwa
i Gospodarki Żywnościowej

★

W odpowiedzi na pismo Obywatela Ministra w sprawie zbadania wydanych decyzji administracyjnych w przedmiocie uregulowania na rzecz Konstancji Kropiewnickiej własności nieruchomości rolnej o powierzchni 8,75 ha, położonej we wsi Franki Dąbrowa, uprzejmie informuję, że w Prokuraturze Generalnej zbadano nadesłane akta administracyjne i nie stwierdzono podstaw do kwestionowania decyzji Obywatela Ministra z dnia 14 lutego 1986 r., utrzymującej w mocy decyzję dyrektora Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Wojewódzkiego w Łomży z dnia 10 czerwca 1985 r. Fakt samoistnego posiadania gruntów przez Konstancję Kropiewnicką w dniu 4 listopada 1971 r. nie budzi wątpliwości i zasadnie był podstawą uwłaszczenia.

JÓZEF SZEWCZYK
zastępca Prokuratora Generalnego
PRL

O SKIEROWANIU DO SZPITALA

W „Kontaktach” (nr 25/87) przeczytałem list pacjentki Janiny Szymańskiej, rozgoryczonej odmową leczenia szpitalnego. Do listu tego pragnę dopisać kilka uzupełnień.

Każdego dnia do izby przyjęć zgłasza się kilkunastu pacjentów kierowanych do Oddziału Chorób Wewnętrznych. Z tej liczby, ze względu na ograniczoną ilość łóżek oddziału, zostaje przyjętych jedynie kilku.

Nie każde skierowanie jest jednoznaczne z koniecznością leczenia w oddziale szpitalnym. Praktycznie w żadnej z łomżyńskich poradni, nawet specjalistycznej, nie ma możliwości podania kroplówki czy silnie działającego leku i obserwacji pacjenta przez kilka godzin po zastosowaniu. Postępowanie takie jest wystarczające w wielu przypadkach i stosowane jest nie tylko w Łomży. Ze względu na trudności lokalowe szpitala zostało przeprowadzone na korytarzu oddziału, a nie w izbie przyjęć.

Praca w izbie przyjęć jest pracą dodatkową i nie zwalnia lekarza z codziennych obowiązków. Zajęty nimi, rzeczywiście zapominałem podpisać zwolnienie i za to przepraszam. Nie spowodowało to przedłużenia pobytu pacjentki w izbie przyjęć. Jak sama bowiem stwierdza, wyniki badań kontrolnych były gotowe dopiero po przejęciu dy-

żuru przez mego zmiennika, którego poinformowałem o sytuacji w oddziale. Nie jest zatem prawdą, że wyszedłem z pracy przed jego przybyciem i pozostawiłem pacjentkę bez opieki lekarza. Nie rozumiem, dlaczego pani Szymańska domaga się, abym (w imię lekarskiej etyki?) pozostawał po pracy i oczekiwał na wyniki badań, które zinterpretował lekarz dyżurny.

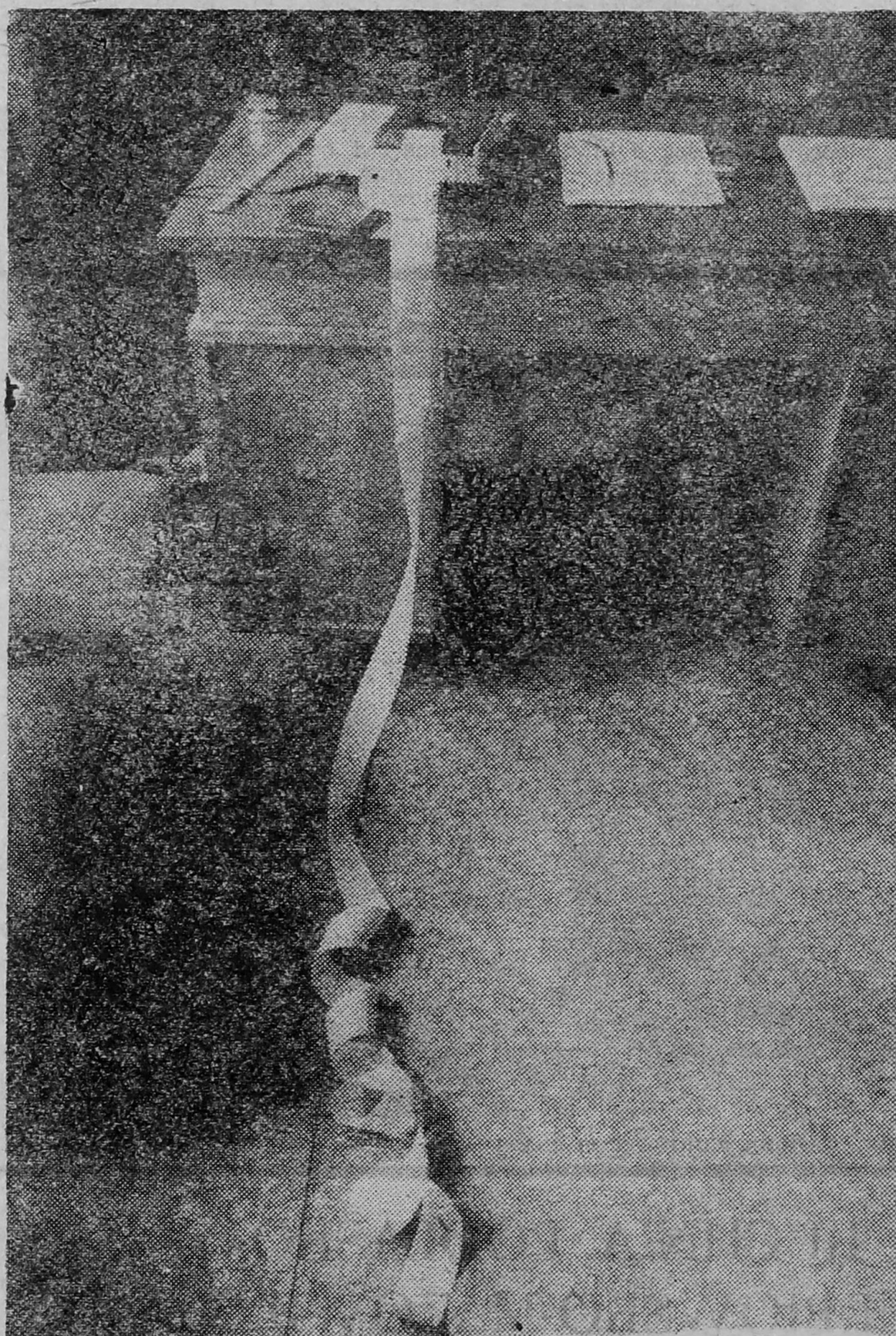
Dziwi mnie też, że czytelniczka potrafi lepiej niż ja ocenić (i autorytatywnie orzec), kto z pacjentów musi pozostać w szpitalu, a kto (po zastosowanym leczeniu) może powrócić do domu.

Hospitalizacja pacjentki w kilka godzin po zakończonym leczeniu miała zupełnie odmienną przyczynę, znaną moim przełożonym i dyrekcji szpitala. Publikacja jej byłaby naruszeniem tajemnicy lekarskiej.

Lek. med. WOJCIECH ROGOWSKI
Łomża

„ROZSĄDZCIE SAMI”

Po opublikowaniu listu pracowników poradni dziecięcej przychodni rejonowej przy ulicy Wyszyń-



skiego w Łomży, a także odpowiedzi dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Łomży („Kontakty” nr 29/87), czuję się zobowiązany zwrócić się z uprzejmą prośbą o użyczenie raz jeszcze tej sprawy i lamów i zamieszczenie mojej odpowiedzi.

Sformułowania zawarte w piśmie dyrektora, jedynie w części są zgodne ze stanem faktycznym. Sprawa wydłużenia godzin pracy istotnie była tematem spotkania z ordynatorami i kierownikami. Ustalono, że propozycje poszczególnych jednostek zostaną przekazane na piśmie następnego dnia. 23 maja przekazałem następującą propozycję: „Poradnia Dziecięca — przedłużenie czasu pracy jest możliwe jedynie po rezygnacji z pełnienia dyżurów w poradni międzyrejonowej przy ul. Armii Czerwonej.” Tymczasem dyrekcja zobowiązuje do wydłużenia godzin pracy personel poradni dziecięcej naszej przychodni i utrzymuje obowiązek pracy w po-

radni międzyrejonowej. Konsultacja była, ale nie została uwzględniona w decyzji. Więc jaki był jej cel? Od miesięcy znane jest dyrekcyi stanowisko pracowników przychodni, że czas pracy można wydłużyć nawet do godziny 20.00 (przy tak dużym rejonie, jest to pilna potrzeba), ale po rezygnacji z dyżurów w poradni międzyrejonowej.

Zarzut braku przepływu informacji pomiędzy kierownikiem przychodni a pracownikami poradni dziecięcej, uważam za bezpodstawny i śmieszny w obliczu faktu, że na spotkaniu z dyrekcją była obecna lek. Krystyna Nizik, pełniąca obowiązki starszego lekarza poradni dziecięcej.

Fragmenty pisma, odnoszące się do obowiązków pracownika, związanych z pełnieniem dyżurów zakładowych, uważam za niewłaściwie adresowane w sytuacji, kiedy tylko jeden z lekarzy naszej przychodni nie dyżuruje w Dziale Pomocy Doradźnej, bądź oddziałach szpitalnych. Nie chciałbym w tym miejscu dokonywać porównań z innymi przychodniami.

Pismo pracowników poradni dziecięcej nie było inspirowane przez kierownika, ani też jego treść nie była z nim uzgodniona (o jego istnieniu dowiedziałem się już po wysłaniu), co nie oznacza, że dystansuję się od wszystkich poru-

ogólnej oraz pomieszczeń dla poradni dziecięcej. Aktualna sytuacja grozi tym, że przychodnia nie będzie spełniała warunków zawartych w wytycznych i konieczna będzie rezygnacja jeszcze przed przystąpieniem do pracy w tym systemie.

Lek. med. JERZY PUCHNAREWICZ
kierownik
Przychodni Dziecięcej nr 3
w Łomży

ZWROT LISTU

W nawiązaniu do notatki, dotyczącej zwrotu listu nadanego przez Urząd Gminy w Bogutach („Spółca”, „Kontakty” nr 25/87), Wojewódzki Urząd Poczty w Łomży po zbadaniu sprawy wyjaśnia, że list został nadany 18 maja i był skierowany do ob. Krystyny Stańczuk, pracownicy Urzędu Miasta i Gminy Wysokie Mazowieckie.

Zgodnie z adresem 19 maja przesyłkę włożono do skrytki pocztowej Urzędu Miasta i Gminy Wys. Maz. Jednakże Krystyna Stańczuk nie była zatrudniona w tamtejszym urzędzie, więc UMiG umieścił na kopercie uwagę „proszę podać dokładny adres” i zwrócił list do nadawcy.

Problematyczną jest jednak sprawa ustalenia formy zwrotu przesyłki. Z przedstawionej do wglądu koperty wnioskujemy, że list został włożony do nowej koperty i jako zupełnie odrębna przesyłka zwrócony nadawcy. Za podstawę do takiego wnioskowania przyjęliśmy fakt braku datownika (daty zwrotu przesyłki) i ślady po zaklejeniu skrzydełek koperty.

Biorąc pod uwagę powyższe, nie dopatrujemy się nieprawidłowego postępowania w opisanej sprawie ze strony pracowników UPT Wysockie Mazowieckie.

Mgr ROMUALD GORLEWICZ
zastępca dyrektora WUP
w Łomży

„CO JEST PRAWDA?”

Czytelniczce w publikowanym liście („Kontakty” „Kontaktów”, „Kontakty” nr 28/87) zapewne chodziło o działkę nr 296, a nie — jak podano w numerze — 269. Użytkowniczką wieczystą działki nr 296, zgodnie z zapisem w rejestrze gruntów miasta Łomży, jest ob. Lucyna Arter wraz z małżonkiem.

Obywatelka Lucyna Arter została użytkowniczką wieczystą nieruchomości położonej w Łomży przy ulicy Wesołej (wówczas pod numerem 45) na mocy umowy notarialnej nr rep. 4208/1960. W akcie notarialnym podano wielkość działki 773 m kwadratowej. W latach 1967—1968, przy opracowaniu ewidencji gruntów miasta Łomży, działka ta otrzymała numer ewidencyjny 70, a na podstawie kompleksowego pomiaru powierzchnię jej określono na 824 m kwadratowej.

W 1974 roku zaistniała konieczność poszerzenia ulicy Wesołej. Przy wykupie gruntów na poszerzenie tej ulicy działka małżonków Arter została pomniejszona o 66 m kwadratowych, a więc od chwili obecnej posiada powierzchnię 758 m kwadratowych. Jest to jedyny przypadek pomniejszenia tej działki.

Należy jeszcze dodać, że na wniosek obywatelki Lucyny Arter dokonano rozgraniczenia działki nr 296 z działką sąsiednią nr 294, która jest własnością ob. Stefani Baraży. W trakcie rozgraniczenia strony nie zawarły aktu ugody, granica stała się sporną i sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Łomży. Do chwili obecnej Wydział Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu Miejskiego nie został poinformowany o sposobie rozstrzygnięcia sporu granicznego.

Inż. JERZY BITTNER
zastępca kierownika
Wydziału Geodezji
i Gospodarki Gruntami
UM w Łomży

co po krytyce



To miejsce jest wizytówką szpitala. Tutaj tworzy się opinia o służbie zdrowia, tu tragedia i ból łączą się z nadzieją. Dwanaście godzin dyżuru: skaleczone palce, klucza w sercu, bóle porodowe, pijackie majaczenia, jęki ofiar wypadków drogowych, własnej bezmyślności, braku odpowiedzialności za czyjeś życie, ludzkiej brutalności, nagle przypadki. Starzy, młodzi i najmłodsi. Obcy i dobrze znani. Kolejność przyjęć nie obowiązuje. Wózek leżący, siedzący, biurko pielęgniarki i szafa z podręcznymi medykamentami. Kilka kroków wzdłuż, kilka wszczep: izba przyjęć.

TUŻ PRZED DWUDZIEŚCIĄ 25 lipca 1987 r. Teresa Jackowska, dyplomowana pielęgniarka z siedmioletnim stażem pracy, sumuje dzień pracy: pięć kobiet do porodu, obserwacja ciąży, gorączka reumatyczna, żółtaczka mechaniczna, krwawienie z dróg rodnych. Wszystko skrupulatnie zapisane w książce przyjęć, adaptowanej z „Księgi gabinetu zabiegowego”. Książka ambulatoryjna to przerobiona „Księga apteczna”, a w niej zanotowana „pierwsza pomoc”. Jeszcze kilka uwag w książce odmowy przyjęcia do szpitala („można leczyć ambulatoryjnie”) i... do niedzieli. Sanitariusz Józef Szeberowski kończy zmywanie podłogi. To jeden z niepisanych obowiązków. O salowej nie ma co marzyć: tak, jak o poprzedniej izbie przyjęć, „z prawdziwego zdarzenia”, po której pozostało wspomnienie (gabinet lekarski, zabiegowy, kropiółka) i — obecnie Oddział Intensywnej Opieki Medycznej.

DWUDZIEŚCIĄ Zofia Haloszka, starsza pielęgniarka, ponad trzydzieści lat pracy, w tym pięć w „erce” i czwarty rok tutaj, w izbie przyjęć. Sanitariusze: Jan Brzozowski, czwarty rok; Grzegorz Szablak, drugi miesiąc. Pierwszy wpis w książce przyjęć: „Pierwsza ciąża, pierwszy poród”. — Mam przecucie, że ciężka noc przed nami — mówi pani Zofia. Zwykle gdy mój dyżur rozpoczyna się porodem, porodem się też kończy, a przez ten czas robi się piekło. To oczywiście przypadek, ale tak jest często i nie potrafię sobie tego wytłumaczyć.

DWUDZIEŚCIĄ DWADZIESCIĄ. 42-letni rencista zjawia się ze skierowaniem z pogotowia na EKG. Tuż po nim kobieta na to samo badanie.

— Miałem rozległy zawał z powikłaniami — opowiada historię swojej choroby mężczyzna. — Gdzie ja nie leżałem! Białystok, Anin. W ogóle była u mnie ciekawa sprawa. Nie wiem, co dalej ze mną będzie. Denerwuję się trzy-cztery razy dziennie, bo i życie mam takie. — Musi pan trochę zwolnić — przerywa pielęgniarka. — Z sercem nie ma żartów.

— Wiem, ale ja już taki jestem i nigdy się nie zmienię — mówi. No, proszę, ja w każdej kieszeni mam leki — pokazuje ich zawartość. — Brat mi z Ameryki przysłał, ale... Ja, proszę pani, wpakowałem już kilka milionów w dom. Skończył mi posadzkę i parkiet, boazerię. Mam samochód za dwanaście milionów... — Stosko...

— Ile warte jest ludzkie życie? Co ja się tu napatrę — mówi pani Zofia. — A ludzie wciąż są tacy zachłanni. Było więcej i więcej! Co im zostanie? Moment, chwilka i tyle wszystkiego.

Wrażen i relacji z dzisiejszego dnia wysłuchuje teraz od obojga pacjentów lekarz dyżurny. Ostatnie wskazówki, recepty. Pani Zofia wybiera igłę. Pacjent komentuje: — Pamiętam, jak w Białymstoku pielęgniarki zosiłwe... — zastrzyk grubą igłą. Przyszycialem się już i mówię sobie: co ma być, to będzie. Jak źle, to trudno. Widać takie moje przeznaczenie.

— Nie można się tak do życia i choroby ustawiać — perswaduje pielęgniarka. — O nerwach nie trzeba tak bez przerwy myśleć.

DWUDZIEŚCIĄ PIERWSZĄ. Lekarz dyżurny pogotowia wzywa izbę przyjęć. Za chwilę „erka” przywozi 68-letniego rolnika. Zawał. Natychmiastowy transport na Oddział Intensywnej Opieki Kardiologicznej. Podniecenie udziela się wszystkim obecnym.

DWUDZIEŚCIĄ PIERWSZĄ DWADZIESCIĄ. Pogotowie przywozi starszkę ze zwichniętym stawem barkowym. Kolejny pacjent (wylew do stawu kolanowego, hemofilia) odmawia pozostania w szpitalu.

— Co pan robi najlepszego? —

pyta zdenerwowana pani Zofia.

— Na korytarzu leżeć nie będę. Pielęgniarka wywołuje pogotowie. Zamawia karetkę do transportu chorego do domu. Wraca myślą do uwag pacjenta o grubości igły. Czy dysponuje pielęgniarka w izbie przyjęć? Nie ma strzykawek „dwudziestek” do zastrzyków dożylnych; są „recordówki”, do których w żaden sposób nie da się dopasować igieł typu „luer”. Ktoś wpadł na pomysł sprowadzenia tzw. łączników. Są, lecz wypadają zarówno z igły, jak i ze strzykawki. Jak sobie radzą pielęgniarki? Starą metodą: wymiany sprzętu medycznego z koleżankami poszczególnych oddziałów tego samego szpitala.

DWUDZIEŚCIĄ DWADZIESCIĄ. Młody człowiek informuje o leżącym pod barem „Popularny”. — Proszę podać swoje nazwisko, bo ja muszę wpisać do książki — domaga się pani Zofia. Mężczyzna bardzo się denerwu-

mózgu. Młodość, brawura, bezmyślność. Pamięta dyżury, gdy ofiary wypadku znoszone były w odstępiech godziny, kilku minut. Zdarza się, że na tych paru metrach kwadratowych izby przyjęć, w tym samym czasie, dzieją się szokujące sceny. Tu leży kobieta rodząca, tu odbywa się reanimacja na podłodze, bo na łóżku bełkoczący pijak przygotowywany jest do zabiegu. A ile jeszcze dostanie się pielęgniarki i sanitariusza obelg, wyzwisk, a nawet kopniaków! Na krześle siedzi duszący się dziadek, ktoś czeka na reakcję po zastrzyku, na badania. Jedni patrzą na drugich. Tu jęki, tam lejąca się krew, walka o życie. „Gabinet” zabiegowy, lekarski, izba wytrzeźwień, przedporodówka. Kto by pomyślał, że tyle może się zmieścić w jednej izbie przyjęć!

— Mój „gabinet” zabiegowy jest po prostu w szafie — mówi pani Zofia. — Na półkach przygotowuję ampułki i jeśli choć trochę mam miejsca na stole, to już jestem szczęśliwa. Bywa i tak, że mam wszystko rozłożone i zabieram się do iniekcji, a tu pogotowie, nowy pacjent; rzucają mi na stół jakieś papiery, chwytam ampułki, nie mam gdzie się z nimi podziać. Pozostaje mi tylko parapet.

Niestety, także „zajęty”. W metalowej kasecie przechowywane są dowody osobiste pacjentów (leżą tu nawet po kilkanaście miesięcy, choć właścicielom niejednokrotnie się o tym przypomina), zegarki, drobne pieniądze, klucze. Wszystko skrupu-

czącym się nieco językiem, prosi o pozwolenie na skorzystanie z telefonu. Znajomemu lekarzowi uskarża się na pracownika „rentgenu”: żądał od niej skierowania na prześwietlenie.

— I słusznie — komentuje pani Zofia, gdy kobieta w towarzystwie koleżanki i kolegi opuszcza izbę. — Powinna przyjść najpierw do nas i skierowanie na pewno by dostała, ale skoro nas lekceważy...

ZERO CZTERDZIESCI PIĘĆ. Pogotowie przywozi 84-letnią kobietę, skarżącą się na ból w klatce piersiowej.

PIERWSZĄ. Ofiara wypadku motocyklowego, 24-letni chłopak; złamanie otwarte lewego podudzia. Zdarta skóra rąk, twarzy. Patrzy na zdjęcie rentgenowskie, wykonane w kolneńskim szpitalu. — To wszystko moja głupota — mówi cicho. Jest prawdopodobnie pod wpływem alkoholu. Sanitariusze odwożą go na oddział. W tym czasie umiera 68-letni rolnik, przywieziony przez „erkę” cztery godziny temu.

PIERWSZĄ TRZYDZIESCI. „Pierwsza ciąża, pierwszy poród” — zapisuje pani Zofia.

PIERWSZĄ CZTERDZIESCI. W drzwiach staje młody człowiek i pyta drżącym, cichym głosem, czy może przeprowadzić chorego. Wybiegają wszyscy. Kaluża krwi, wyciągnięte przed siebie ręce. Nie widać twarzy spod leżącej się strugi. Bandaże przesiakają w kilka sekund. Spód pleców leżącego pani Zofia wyciąga skrzepy. Krew na łóżku i podłodze. Uszkodzona czaszka, ślady cięcia nożem na twarzy. W dowodzie osobistym „sucha” fotografia; tylko w ten sposób można poznać twarz tego 32-letniego mężczyzny. Przypomina, że został pobity. Pani Zofia pyta przez kogo. — Nie powiem — pada odpowiedź. Lekarzy dyżurny zawiadamia milicję.

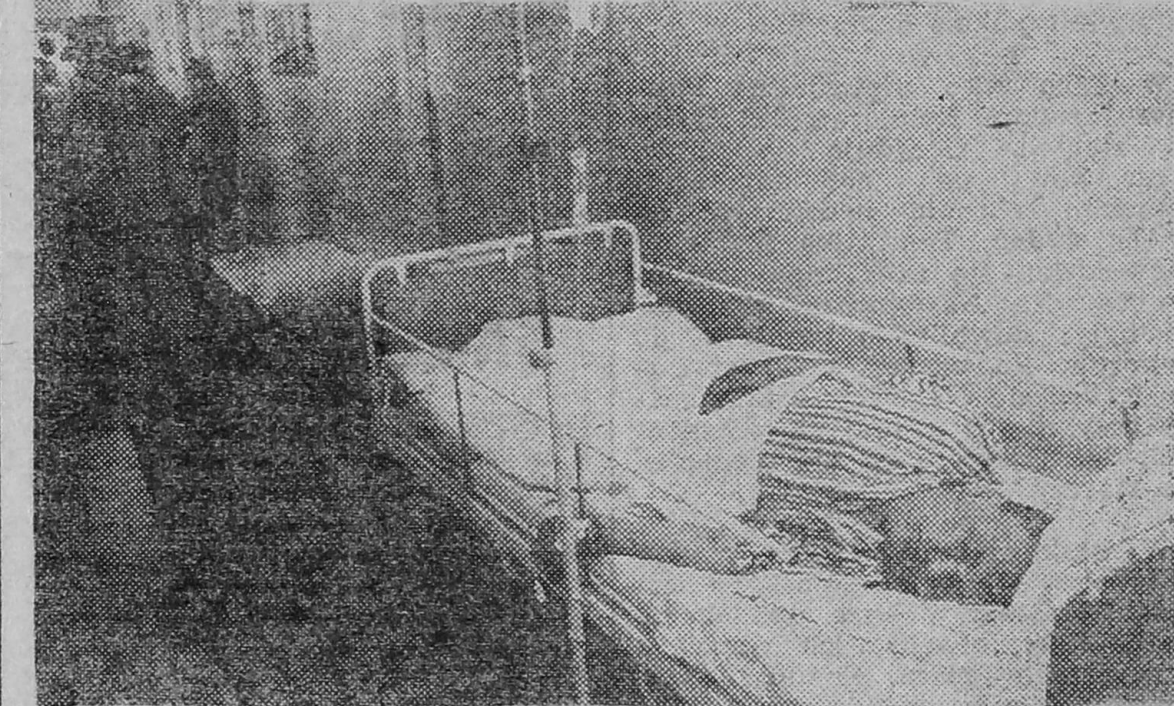
PIERWSZĄ PIĘCDZIESIAT PIĘĆ. Poród.

DRUGĄ, DRUGĄ DWADZIESCIĄ, TRZECIĄ DZIESIĘĆ — poród.

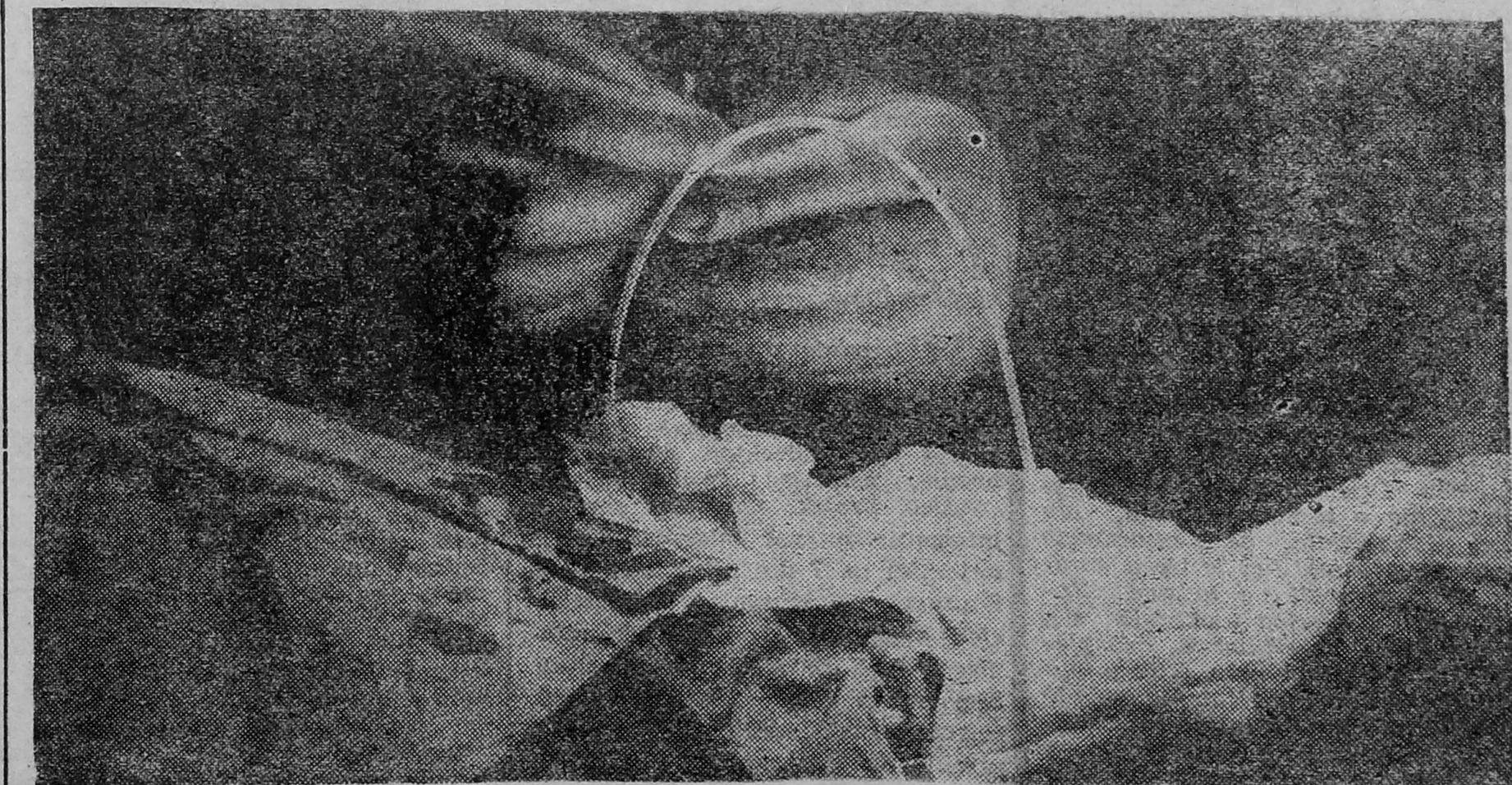
PRZED ÓSMĄ pani Zofia sporządza raport. Przyszła młoda matka (ta z trzeciej dziesiątej) zostaje zapisana w książce przyjęć do szpitala pod numerem cztery tysiące trzysta trzydzieści (od początku roku). — Widzicie, tak jak mówiłam: zaczęłam dyżur porodem i porodem się skończył — śmieje się pani Zofia. — Tak naprawdę lubię przyjmować rodzące; one przychodzą tutaj przecież po nowe życie.

I pani Zofia przypomina sobie pewną 39-letnią kobietę. Dwa tygodnie temu zapisała przy jej nazwisku: „21 ciąża, 13 poród”.

Sanitariusze sprzątają pokój. Myślą już o wtorkowym dyżurze, o zbliżających się zniwach, których ofiarami co roku padają dzieci nieodpowiedzialnych rodziców, o wiecznie psującej się windzie, żalach



PRZEDSIONEK NADZIEI



je, wychodzi z komentarzem, ale po chwili wraca, wymieniając je niewyraźnie. Sanitariusze wybiegają z zamiarem ratowania owego przechodnia. Okazuje się, że jest po prostu pijany. Po krótkim „odpoczynku” na ławce przed szpitalem, wypowiadając sąd o całym świecie, rusza przed siebie.

Pani Zofia przypomina sobie tragedię, których przyczyną był alkohol. Połamane ręce, nogi, wstrząs

latnie zapisane w książce depozytu. Czego to ludzie nie noszą przy sobie?! Pewien pacjent miał prawie trzysta dolarów i siedemdziesiąt marek, inny 150 tysięcy złotych „Zaloga” izby przyjęć bardzo często posadzana jest o kradzież tych dóbr. Opuszczający szpital upominają się o jeden but, kartkę żywnościową, podartą koszulę, klucze

ZERO TRZYDZIESCI. Młoda kobieta z zabandażowaną nogą. pla-

i pretensjach pacjentów, gdybają o warunkach pracy w nowym szpitalu. Choć łomżyński nie ma najlepszej opinii, ludzie mimo wszystko wolą leczyć się tutaj niż w innym „terenowym” w województwie, więc chyba nie jest tak najgorzej? Służba zdrowia także ma swoje dolegliwości.

OSMA. Niedziela, 26 lipca 1987 r. Pani Zofia odpina czepek. Dyżur przejmują Hanna Kamińska.

GABRIELA SZCZĘSNA

Ameryka
postawy



kontakty kontaktów

POLUBIĆ STACJĘ W GRAJEWIE

Tak mało piszemy o sprawach i ludziach dobrych, że coraz częściej stwierdzamy, że jest ich wśród nas niewiele. A jednak są.

Swoimi spostrzeżeniami podzieliłem się z grupą znajomych, więc mój osąd jest częściowo opinią społeczną.

Posiadam dużego fiata na kończącej się już gwarancji. Na przeglądzie i z drobnymi usterkami jeździłem do Elku i Białegostoku, do stacji znacznie odległych od Szczuczyna, czyli miejsca mojego zamieszkania. Ostatnią usterkę zgłosiłem w Stacji Obsługi Samochodów w Grajewie, prowadzonej przez Mariana Zawistowskiego. Wprawdzie gdy podstawiłem pojazd, miałem duszę na ramieniu, ale już w chwili później rozwiały się moje wątpliwości.

Mechanik, Stefan Zelman, pozdrowił mnie i poprosił o kluczyki. Potem podjechał powoli, z pełną rozwagą na stanowisko. Obejrzał pojazd, wyszukał usterki i powiedział: „Drobnostka, wyjedzie pan zadowolony”. W dalszym ciągu wątpię, ale czas robił swoje. Mechanik pokazał doskonałość fachowca i kulturalnego człowieka. Zadziwiła mnie jego pedanteria w dbałości o pojazd, aby go nie uszkodzić i nie zabrudzić oraz starania, aby jak najlepiej wykonać zabiegi mechaniczne. Zauważyłem również troskę, by bez uzasadnienia nie narażać gwaranta lub warsztatu na niepotrzebne koszty. Mechanik przez cały czas słuchał fachową radą swoim młodszemu kolegom.

Patrzyłem na to wszystko jako pedagog z trzydziestoletnim stażem i byłem mile zaskoczony. Podziwiałem fachowość, inteligencję i subordynację młodego człowieka. Nasz kraj takich potrzebuje, a społeczeństwo na nich liczy. A wracając do wstępu listu — dodam: „Cudze chwalcie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie”.

STANISŁAW ORŁOWSKI
Szczuczyn

ZEPSUTE WAKACJE

Przebywałam na urlopie w miejscowości Kobylin Borzymy i tam dowiedziałam się o działalności pani „profesor” z miejscowej szkoły. Otóż tej pani, chyba już w kwietniu, powierzone zorganizowanie obozu lub kolonii dla dzieci. Obóz harcerski był planowany na lipiec bieżącego roku w Kołobrzegu (i inne dzieci tam wypoczywały).

Kilkoro chętnych harcerzy ze szkoły przekazało nauczycielce karty uczestnictwa wypełnione przez rodziców, lekarza, pielęgniarkę i wychowawcę klasy oraz pieniądze — siedem tysięcy złotych. Minął maj, czerwiec, przyszedł koniec roku szkolnego, a o obozie było ciągle cicho. Dzieci kilkakrotnie dopytywały się o termin wyjazdu, ale pani odpowiadała, że informacje przekaze później. Już w lipcu sprawą zainteresowali się rodzice. Zadzwońnię do hufca i okazało się, że ani karty uczestnictwa, ani pieniądze tam nie wpłynęły. Więc o wyjeździe harcerzy z Kobyliny nie było już mowy. Po interwencji dyrektora szkoły pani „profesor” z wielką pretensją oddawała zebrane na obóz pieniądze. Żal jednak tych oszukanych dzieci, które całe wakacje siedzą w domu. Uważam, że za to powinien ktoś ponieść konsekwencje.

CZYTELNICZKA z Warszawy
(nazwisko do wiadomości redakcji)

OD REDAKCJI: opisaną sytuację potwierdziła Wiesława Orłowska, komendantka Hufca Wysokie Mazowieckie. Oczekujemy na reakcję władz szkolnych.

Wieś Sobolewo w gminie Klukowo, licząca 30 gospodarzy, jest jedną ze 158, które — na 1343 utworzone w województwie rady sołeckie — nie powierzyły funkcji przewodniczącego sołtysowi. Wydarzenie to uważane jest w Sobolewie za przełom. Jeszcze dziś starsi oponują twierdząc, iż nie było we wsi jak za sołtysa. Wszystko załatwił. O wszystkich sprawach najlepiej wiedział. Każdy urzędnik do niego przyjeżdżał w pierwszej kolejności. Był we wsi ktoś, do kogo na zebraniu należał głos decydujący.

Młodzi myślą inaczej. Bo kiedy pojedzie do gminy radny GRN z ich wsi, przewodniczący rady sołeckiej i sołtys, to już muszą ich traktować jak delegację, a to brzmi poważniej. W rozmowie z naczelnikiem mają trzy głosy, a on jeden.

Józef Lupa, kiedy został sołtys w czasie stanu wojennego (jego poprzednik ciężko wówczas zachorował), był przygotowany na sołtysowanie dożywotnie, bo tak przecież przeważnie w Sobolewie bywało. Utworzenie rady sołeckiej przyjął więc z ulgą. „Będzie jeszcze ktoś, kto mi pomoże ciągnąć ten wózek. Jeśli nie przytrafią się nam ważne, powinno być lepiej. Dziś trzeba się nagłowić, by cokolwiek dla wsi załatwić szybko i dobrze.”

Wieś co roku odpisuje na Fundusz Rozwoju Rolnictwa 200 tysięcy złotych. Decydują wspólnie, przeważnie na popołudniowym wiejskim zebraniu niedzielnym, na co je wydać. Tak kilka lat temu opowiedzieli się za zakupieniem opryskiwacza. Następnymi maszynami były: siewnik do buraków, do nawozów. Po talerzówkę Józef Lupa jeździł do Nowogrodu kilkanaście razy, bo w każdej chwili może podrożyć i jeszcze na nią pieniędzy nie starczy.

W klukowskim SKR-rze mówią o Sobolewie z przekąsem: „To jest wieś filozofów. Zawsze upadną na cztery łapy, choćby ich zrzucił z najwyższego pieca. Fundusz przeznaczają na zakup maszyn i nam już nie dają za dużo zarobić. Czasami tylko poproszą o kombajn do zboża lub o skoszenie traw”.

W Urzędzie Gminy trzeba zwięździeć wszystkie pomieszczenia, by coś usłyszeć o Sobolewie. Jak w żadnej instytucji, takie tu nagle odmiłodzenie kadry. Od niedawna — naczelnik. Referentki — zaledwie od kilku miesięcy. Awansował też gminny geodeta — na kierownika służby rolnej. Teresa Porowska zajmuje się samorządami na wsi już 9 miesięcy. To jej pierwsza praca. Wie, że w gminie są rady sołeckie i działa w nich także jej ojciec, gospodarz z Lubowicza Wielkiego. Ile ich jest i gdzie, z tym już jest gorzej.

Na szczęście Biuro WRN uwzględniła każdą gminę, więc i Klukowo: 36 rad i 149 działających w nich społeczników.

W 24 paragrafie trzeciego rozdziału wzorcowego statutu samorządu mieszkańców wsi wymienia się następujące kompetencje rady sołeckiej: zwołuje zebranie, ustalając dzień, godzinę, miejsce, projekt porządku obrad i informuje o tym mieszkańców co najmniej na 7 dni przed terminem. Zaprasza na zebranie przedstawicieli odpowiednich jednostek organizacyjnych dla zreferowania spraw, przygotowania projektu uchwał, sformułowania opinii. Opracowuje i przedkłada zebraniu wiejskiemu projekt rocznego planu finansowo-rzeczowego. Występuje w imieniu mieszkańców z inicjatywami dotyczącymi rozwiązania ich bolączek.

Rada Sołecka w Sobolewie wystąpiła właśnie ostatnio z propozycją zebrania wiejskiego z udziałem władz gminnych i przedstawicieli naszej redakcji na temat bieżących problemów sobolewian. Treść nadesłanej do „Kontaktów” informa-

cji była następująca: „Rada Sołecka wsi Sobolewo prosi o delegowanie redaktora waszego pisma na zebranie wiejskie w dniu 13 lipca 1987 roku o godzinie 19.30. Na zebraniu tym będzie omawiana sprawa nieprawidłowości występujących w obsłudze rolników przez instytu-

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

GORZKI
SMAK
SAMORZĄDNOŚCI



cje działające na terenie gminy Klukowo. Lekceważenie przez miejscowych urzędników zarządzeń centralnych. Uważamy, że to zebranie będzie interesujące i pokaże statutową działalność samorządu wiejskiego. Przewodniczący Rady: Stanisław Piętka. Na zebranie zaprosiliśmy również Decydentów Gminnych i Wojewódzkich”

Przyznaje, iż to ostatnie zdanie zabrzmiało mi stylistyką roku 1980 i 1981. W określonym stylu wyobrażałem też sobie porządek zebrania, który najczęściej określano wtedy pyskówką. Było zupełnie inaczej.

Rolnicy siedzieli na długich drewnianych ławach w dużej sali remizy OSP, pośród dekoracji na czas weselisk i okazjonalnych potańcówek. Za przydzielonym stołem, na honorowym miejscu, ułokowali się

gminni goście wraz z przewodniczącym rady, który — jak na dobre zebranie przystało — udzielał głosu, zarówno swoim, jak i z gminy.

Kwestia niedostatku węgla zajęła kilka godzin. Starszy wiekiem Franciszek Lubowicz stwierdził z goryczą, iż gospodarzy całe życie, ziemię przekazał synowi, i teraz musi korzystać z jego przydziału węgla i z jego kuchni. Sprzeciwiał się przeznaczeniu po ton na każde gospodarstwo, niezależnie od produkcji i jego wielkości. Andrzej Józwiak pytał o węgiel dla rencistów i emerytów. Wnioskował, by był co roku, a nie — co kilka lat. Domagał się, by prawo było prawem a nie kaprysem, raz bardziej dotkliwym, raz mniej. Stanisław Piętka opowiadał się za nieodbieraniem podwójnych kart opałowych rodzinom rolniczym, jeśli rzeczywiście oddzielnie mieszkają.

Eugeniusz Waszczuk, sobolewski radny Gminnej Rady Narodowej, przyznał rację wyjaśnieniem władz gminnych. Uznał sprzedaż rejonową za dobre rozwiązanie problemu, bo do każdego wagonu nie zjeżdża się cała gmina. Gdy przychodzi kolejka na daną wieś, sołtys otrzymuje telefon z GS-u, by odbierać opał. Miał jednak zastrzeżenia do tempa załatwiania.

— Trzeba — powiedział — jechać jednego dnia wypisać kwity, a drugiego dopiero odebrać. Stawie rolnik w dwóch kolejkach, traci dwa dni, a zakupuje jeden towar. Można by to zrobić szybciej, inaczej organizując pracę GS-u. Problem ten podejmowało wielu radnych. Ale GS jest w tej kwestii jak ściana.

Rolnicy wypomnieli też naczelnikowi i prezesowi GS-u: — Minister daje nam 15 ton opału, a panowie w gminie tylko 7. Jesteśmy więc pokrzywdzeni.

— Daję wam tyle, ile dotrze do gminy — odparł naczelnik. — Mnie też łatwiej byłoby podpisać rozporządzenie, ale taka jest różnica między mną a ministrem, że on pracuje na papierze, a ja muszę codziennie dogadywać się z chłopem.

Problem węgla dominował, ale nie zdominował pozostałych. Na drugim miejscu porządku zebrania: niedostatek nawozów. Mocznik był bardzo potrzebny, a półtora miesiąca przeleżał w magazynach GS-u, bo nie było nowych faktur po podwyżce cen. Jeden z rolników zapłacił już za nawóz, tylko go nie odebrał. W tym czasie nastąpiła podwyżka cen. Policzyli również jego worki. Teraz każą dopłacić. Rolnik protestuje. Prezes GS-u nie wie, jak to rozwiązać.

— Rolnikowi każdy może wytłumaczyć — sentencjonalnie wyraził się Mieczysław Walczak — dlatego brakuje nawozów, ale jak rolnik ma to wytłumaczyć swojej ziemi? Wieś jest w trudnej sytuacji, gdyż i grunty są niezmeliorowane. Lata mokre dokuczają tak samo jak susza.

Sami remontują drogi. Dopytywali więc, kiedy dotrze z gminy równiarka, by mogli zaplanować przy okazji pozostałe prace. Zimą zamierzają zorganizować grupową wyprawę po żużel, do mleczarni w Wysokiem Mazowieckiem. Wtedy zrobią nawierzchnię do Kapłani i Zabińca, trwalszą niż na rok. Nawet ciężki sprzęt jej nie rozjeździ.

Najwięcej kłopotu z odpowiedzią sprawiło Ryszardowi Kasperskiemu pytanie Wiśniewskiego, co ma zrobić ze swoją krową, bo do byka z nią nie można, a inseminator zawsze przyjeżdżał dopiero wtedy, gdy jej chętki minie. Pytanie: „Kiedy pan mi to załatwi”, rozbawiło wszystkich, ponieważ Wiśniewski patrzył na naczelnika z takim uporem, jakby miał on zastąpić inseminatora.

W Sobolewie — mówi mieszkaniec sąsiedniej Zabińca — od samorządności wiele nie przybyło. Zrozumieli, że choć sami mogą rządzić, to nie bardzo jest czym Rolnik tylko na zagrodzie równy jest wojewodzie. Za plotem trafia do kolejki, nawet ze swoją krową.

— Wracałem i mówiłem ludziom: „Sklep będzie”.

Czekali miesiąc, dwa.

— Poszedłem do towarzyski sekretarza. „No tak, rozumem, mówiła, ale co ja tu mam za władzę? Co ja mogę?” Pojechała do województwa. Wysłuchała, pogadali, obiecali. Wróciłem, mówię: „Województwo obiecało. Komitet!” A tu już żniwa, po chleb gnać trzeba dziesięć kilometrów. Dowiedziałem się o posiedzeniu Egzekutywy KG. Kiedyś zapraszali mnie na wszystkie zebrania, przyjeżdżałem samochodem. Teraz już nie, ale poszedłem. I gadam. Zapisali, powiedzieli. „Sprawa będzie załatwiona”.

— Wrócił, usiadł — i napisał do prezesa podanie: „Uprzejmie prosimy o otwarcie sklepu spożywczo-przemysłowego. Proszę motywujemy tym, że ponieważ nasza wioska jest oddalona od gminy najdalej i z przemysłowych rzeczy nie możemy kupić, nam rolnikom są niezbędne potrzebne materiały przemysłowe na miejscu”.

Prośbę podpisał dwudziestu sześciu mieszkańców.

— Bedzie sklep jeszcze lepszy jak był. Nie tylko spożywczy — odpowiadał, gdy słyszał: „Aleś namądrzy!”.

— Tyle będzie — pokazywał ten i ów, gdzie się zgina dziób pingwina, bo czas leciał, a sklep był, jak wcześniej, na papierku.

Któregoś dnia od kolegi z sąsiedniej wsi dowiedział się, że w gminie ma być zebranie sprawozdawczo-wyborcze.

— Pojechałem, wchodzę. Sekretarz już zaczęła, ale po przekazaniu głosu podchodzi i mówi: „Z tym sklepem nie wyskakuje”. „Dobrze”, zgodziłem się. Ale zaczęła się dyskusja, nikt się nie odzywa, to się zgłaszam.

— Towarzyszu — mówi prowadzący. — Towarzysz nie jest delegatem ani zaproszonym gościem, to towarzysz wypowie się na końcu.

Wystąpił wiceprezes, potem nauczyciel i ogłosili przerwę na obiad. Po obiedzie, patrzy, wszyscy się rozchodzą. Została sekretarz i trzy, cztery osoby.

— Co miałem robić? Wyszedłem i pojechałem do domu.

— Barana z ciebie robili! — jeszcze teraz, przy obym, mówi mi wprost żona. — Jak tak, to tak — zwraca się do mnie. — Nic nie mówiąc wzięłam tę jego legitymację, pojechałam do tego jego Komitetu Wojewódzkiego i cisnęłam na biurko.

Następnego dnia pojechał Chojnowski. Wytlumaczył, poprosił o zwrot. Wrócił z legitymacją. Zresztą akurat coś jakby drgnęło, bo oto niedługo potem czytał czarno na białym:

„W odpowiedzi na Waszą skargę złożoną do Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej wyjaśniam co następuje:

— sprawę otwarcia sklepu we wsi Koziki uznano jako zasadną, co potwierdzone zostało na otwartym zebraniu członków Spółdzielni „SCH” w dniu 24 II 1984 r. Dlatego też na wspólnym zebraniu podjęto decyzję budowy pawilonu handlowego, który uruchomiony będzie jeszcze w I półroczu br. według uzyskanych informacji od Zarządu GS „SCH” [...].

Ponadto informuję Towarzysza, że nie stwierdzono faktów o biernym stosunku Zarządu GS w sprawie Waszego wniosku o uruchomienie punktu sprzedaży w Waszej wsi. W powyższej sprawie Zarząd GS odbył kilka spotkań z mieszkańcami i z braku odpowiednich warunków lokalowych problem ten dotychczas nie został załatwiony.”

— Machnąłem ręką, „na brak faktów o biernym stosunku Zarządu”. Ważniejsze było to, że przyjechał prezes, potwierdził wszystko od początku do końca. Od ręki wybraliśmy Społeczny Komitet Budowy, jedna z sąsiadek zgodziła się sprzedać plac, a ludzie obiecali pomoc.

Minął kwiecień, potem maj. O plac nikt z geesu nawet nie spytał. Zaczęły się zebrania przedwyborcze do rad narodowych. Na pierwszym z nich Chojnowski wysunięty został na kandydata. Wstał wówczas starszy człowiek, emeryt i zapytał: „I kogo wy tu wystawili? Od roku

sklep załatwia i gdzie on jest?”

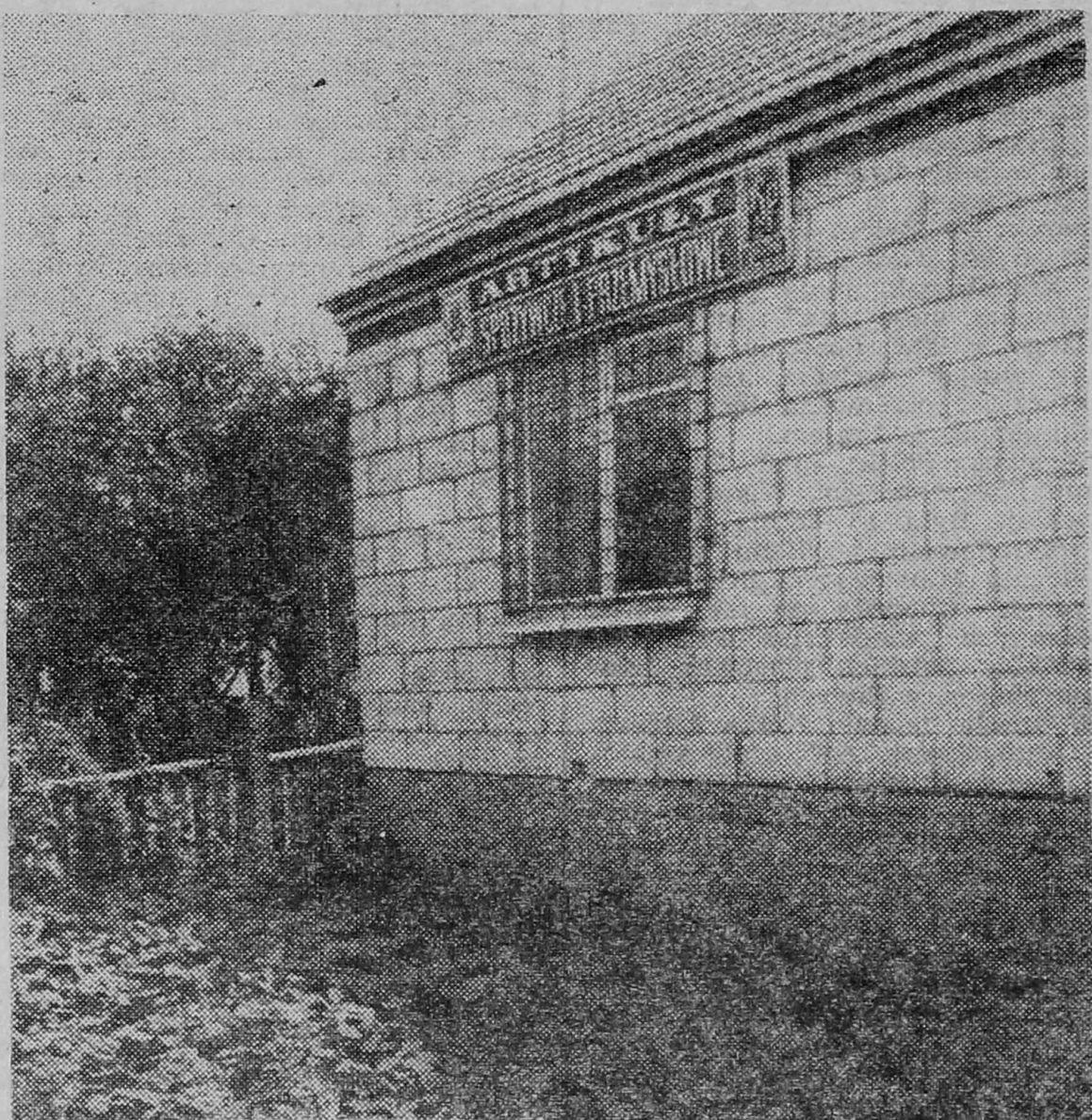
— Co miałem powiedzieć? Ze na papierku z województwa? Poczekaliśmy do końca pierwszego półroczia. Dziesiątego sierpnia poszedłem do sołtysa, wykreśliłem numer do telewizji. I patrz pan, piętnastego sklep został otwarty! Choć w gminie patrz na mnie, jakbym kogo zamordował. Wytrzymam. Wychowałem dziewięćdziesięciu dzieci. Troje skończyło studia. Z chlewika wyszedłem do tego domu. Z dwóch hektarów dorebiłem się siedemnastu. Ostatni syn skończył szkołę i wrócił. Poradzimy sobie.

— Nie! — protestuje prezes. — Sklep został otwarty nie z powodu interwencji telewizji, ale dlatego, że temat nigdy nie leżał. Teraz namierzamy nowy pawilon. Złożyliśmy stosowne zamówienie w Giżycku, poszło pismo do Wydziału Planowania UW w temacie działki. Pierwsze półroczie okazało się nie-realne, ale jeszcze w tym roku w Kozikach pawilon stanie.

— Rozmawiałam z prezesami —

WŁADY ŁAW TOCKI

SZKLANE SKLEPY



zapewnia towarzyska sekretarz. — Jeden jest członkiem ekzekutywy i sekretarzem rolnym, i przyjęliśmy ustalenie, że sklep musi tam być, że trzeba budować, bo ta wynajęta naprędce w sierpniu kłitka to tymczasówka.

Zarówno prezes, jak i towarzyska sekretarz, zupełnie nie mogli zrozumieć, dlaczego Chojnowski ma ci. Po co tu jeszcze prasa i sensacje, skoro sklep jest, a nowy oddany zostanie do użytku najdalej za kilka miesięcy? Na szczęście towarzyska sekretarz przygotowała własnie opinię o towarzyszu Chojnowskim. Niestety, nie jest najlepsza. Fakty? Proszę bardzo: „Kredyty zaciągnięte w BS przez Ob. do roku 1982 nie były spłacane w ustalonych przez bank terminach”. Włóczęg na papierku nie ma, choć ludzie różnie mówią.

— Powiem szczerze — rozłożyła ręce towarzyska sekretarz. — Ten człowiek nie ma wsi za wielkiego autorytetu.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Trudno powiedzieć — znówu bezradnie, nie wyczuwając nawet ironicznego podtekstu pytania, odpowiedziała towarzyska sekretarz.

Powyższy tekst napisałem w końcu sierpnia 1984 roku. Przeczytałem i... włożyłem do szuflady. Chojnowski prosił: „Najlepiej bez nazwiska; nie zależy mi na rozgłosie, lecz na sklepie. A sklep, zaklinał się towarzysz pre-

zes, za kilka miesięcy będzie wzniesiony”. Poślizg, owszem był, ale chyba jako dziennikarz wiem, że kryzys, że trudności obiektywne. Powiniennem zrozumieć. Pomyslałem: niech budują; publikacja niczego nie przyspieszy, a Chojnowski wyraźnie nie ma ochoty być prasowym „bohaterem”, więc nie ma sprawy. Potem, przyznam, o Kozikach zupełnie zapomniałem.

Aż nagle w krótkiej relacji „Gazety Współczesnej” z 25/26 kwietnia 1987 roku, a więc po prawie trzech latach, ze zdumieniem czytam: „Antoni Chojnowski ze wsi Koziki jest ostatni w kolejce i jako jedyny z ponad dwudziestu osób, które przewinęły się w tym dniu przez pokój przyjęć interesantów KW PZPR w Łomży, zgłasza się w spra-

można zrobić dziurę na metr. Postanowił jednak zbudować sklep z prawdziwego zdarzenia. Niestety, kiedy przyszedł do Sniadowa, wszystko się waliło: dachy na magazynach zbożowych, urządzenia piekarni, punkty skupu, sklepy. W ubiegłym roku na bieżące inwestycje i remonty kapitalne wydał 17,5 miliona złotych. Sniadowo jest jedną z dwóch spółdzielni, która wynajmuje prawie wszystkie lokale; nie ma własnego pawilonu handlowego ani pomieszczeń biurowych. Sytuacja jest dziesięcioletnia żużel.

— Jesteśmy zarządcą inwestycji, nie, ciągle brakuje pieniędzy na naprawdę niezbędne rzeczy, a Koziki na razie mają gdzie handlować. Wiem, że musi trochę cierpliwie poczekać, jedynie Chojnowski się uparł.

— Nie tylko Chojnowski — protestuje sołtys, Henryk Jemielity. — Mnie też ludzie wytykają: „Daleś nasze pieniądze i co?”

Sołtys jest jednocześnie członkiem Rady Nadzorczej GS-u. W Radzie niczego nie przeforsował, gdyż każdy ciągnie w swoją stronę. Nie ma nic przeciwko Zarządowi. Rzeczywiście robi bardzo dużo, a wszystkie naraz zrobić się nie da. Trzeba jednak było ludziom powiedzieć, że pilniejsze jest to i tamto, musicie poczekać. Tymczasem Zarząd powiedział: „Będzie budować, jeżeli pomożecie”. I nie dotrzymał słowa.

Na razie sklep mieści się w pokoju cztery na cztery w domu sprzedawczyni, Heleny Szablowskiej.

— Miało tak być trzy miesiące — mówi i potwierdza, że trzy lata temu rzeczywiście uruchomiony został w pięć dni po interwencji telewizji.

Poprzedni Zarząd przeniósł ją do Kozik ze Sniadowa nawet bez rezydentury zdawczo-odbiorczej. Praca w tej kłitce to morderstwo. Zimą codziennie przenosiła część towarów na noc do mieszkania. Cały magazyn stanowią cztery metry kwadratowe za kotarą. Budowy nie ma więc co dalej odwlekać.

— Ale wieś też nie jest zgrana — mówi w oczy sołtysowi. — Kiedy daliście pieniądze, prezes Truskolański powiedział: „Jutro możecie przyjeżdżać po pustaki”. Pojechał choć jeden?

Sołtys nie zaprzecza, ale jest pewny, że gdyby sprawa ruszyła naprawdę, pomogłaby cała wieś. A teraz co ma wozic i gdzie, jeżeli plac nie został jeszcze wykupiony, a dokumentację „produkuje się” od roku?

Po ostatniej interwencji Antoniego Chojnowskiego w KW na dyżurze przedstawiciela KC (którą właśnie zanotowała „Gazeta”) sprawę przejęło Biuro Listów i Interwencji. Kierowniczką Biura, Bożena Kulesza, uważa, że wieś słusznie dochodzi swego: jeżeli spółdzielnia nie była w stanie budować, powinna swą sytuację mieszkańcom wyjaśnić; jeżeli wzięła od nich pieniądze i dała obietnicę, powinna budować. Rozmawiała o tym z WZGS-em, który zadeklarował pomoc finansową z przeznaczeniem na sklep w Kozikach. Czekają na potwierdzenie pisemne.

Final niemal jak w bajce: i przyszedł dobry wujek, i zrobił porządek. Tyle że Koziki raz już ten fragment czytały. W 1984 roku. Swym autorytetem sygnowała go ówczesna WKKP. Dlaczego bezskutecznie? W segregatorze Komisji tkwią z tego okresu trzy dokumenty: skarga Chojnowskiego, wyjaśnienie ówczesnego Zarządu i cytowane pismo WKKP. Na tym ślad się urywa. Nikt zatem nie sprawdził, czy uzgodnienia zostały dotrzymane. Jest to ważne, gdyż w Kozikach wyrósł równie istotny, jak sam sklep, problem: obietnic bez pokrycia.

— Wieś nie tyle zrozumiała — komentuje słowa prezesa sołtys, Henryk Jemielity — co zobojętniała.

kontakty

kontaktów

KOŁO ZPP W ŁOMŻY

Sędzia, prokurator czy adwokat dla wielu są ludźmi ubranymi w togi, dokonującymi czynności procesowych, dotyczących instytucji i obywateli. Obraz ten, choć generalnie słuszny, jest jednak niepełny, bowiem ludzie, o których mowa, poza wykonywaniem swego zawodu aktywnie angażują się w życie polityczne i społeczne narodu i swego środowiska.

Organizacją skupiającą prawników, stwarzającą możliwości czynnego włączenia się w bieg wydarzeń w naszym państwie, jest powstałe w 1945 roku w Warszawie Zrzeszenie Prawników Polskich. Najstarsze łomżyńskie Koło ZPP istnieje już 34 lata. Członkowie Koła organizowali liczne spotkania ze społeczeństwem w środowiskach wiejskich, robotniczych, komitetach rodzicielskich, popularyzowali prawo wśród młodzieży, organizowali i udzielali pomocy sądom społecznym oraz komisjom pojednawczym. Pierwszym prezesem Koła ZPP był adwokat Stanisław Krasowski, pełnił tę funkcję przez ponad 25 lat. W latach 1980-1984 prezesami Koła byli Jerzy Bujko i Bogusław Mazur.

Historia Koła, a przede wszystkim podsumowanie działalności w latach 1984-1987 były tematem ostatniego zebrania sprawozdawczo-wyborczego członków. Sprawozdanie z wykonania zadań w minionej kadencji przedstawiła prezes Koła Krystyna Michalczyk-Kondratowicz.

Wśród wielu dokonań Koła warto zwrócić uwagę na aktywny udział jego członków w przygotowaniu i prowadzeniu wyborów do rad narodowych, Sejmu oraz ławników ludowych i samorządu mieszkańców. Podkreślenia wymaga też współdziałanie Koła z ogniwami PRON w zwalczaniu patologii społecznej, czuwaniu nad przestrzeganiem przepisów ustawy o wychowaniu w trzeźwości, uchyłaniu się od pracy i przeciwdziałaniu narkomanii.

Szczególną uwagę Zarząd Koła przywiązuje do popularyzacji prawa wśród młodzieży, dlatego też czyni udział członków Koła stałą współpracę z łomżyńskimi szkołami ponadpodstawowymi. Rozwijaniu świadomości i podnoszeniu kultury prawnej młodego pokolenia służy także włączenie się członków Koła w działalność Ośrodka Społeczno-Prawnego ZSMP, któremu przewodniczy prezes Sądu Wojewódzkiego w Łomży, Franciszek Aliński.

Uczestniczący w zebraniu Koła ZPP prezes Zarządu Wojewódzkiego ZPP, plk Jerzy Panasiewicz, zwrócił uwagę na konieczność kontynuowania działań popularizujących tematykę prawną wśród załóg zakładów pracy i młodzieży. Prokurator wojewódzki w Łomży, Jerzy Kubrak, wskazał na rzadko wykorzystywaną dotychczas funkcję ZPP jako reprezentanta interesów środowiska prawniczego wobec władz państwowych oraz na potrzebę większej integracji prawników, zatrudnionych w różnych instytucjach. Wśród innych głosów przebiegała troska o rozwój liczebności Koła, o wypracowanie bardziej skutecznych metod oddziaływania na młodzież, o odizolowanie młodego pokolenia od aktualnie występujących zagrożeń, przestępczości nieletnich, alkoholizmu i narkomanii. Realizacja tego ostatniego celu wymagać będzie ścisłego współdziałania Koła z innymi organizacjami, a więc poza istniejącą współpracą z ZSMP, należy nawiązać kontakt z ZHP, klubami, związkami sportowymi, instytucjami kulturalnymi.

Nad wykonaniem wszystkich nakreślonych przedsięwzięć czuwać będzie nowo wybrany Zarząd Koła, którego prezesem ponownie została Krystyna Michalczyk-Kondratowicz, prokurator rejonowy w Łomży.

JACEK CHOLEWICKI
Łomża

Tomek kopał, jakby miał cztery nogi. Strzelał gol po голу. Walił tak, że Marek nie mógł zbliżyć się do bramki. Na trybunach wiwatowano. Nagle na boisko wjechał Grzesiek. Na tylnym kole „Hondy”, która błyszczała jakby była zrobiona ze srebra. Grzesiek jechał, jechał, zaczął się unosić, płynąć. Jego włosy stawały się coraz dłuższe i bielsze, przemieniały się w skrzydła. Raz zniknął za blokami, to znów wylaniał się zza dachów, aby wylądować na balkonie. Na jego balkonie. Ukośnym, z doniczkami begonii i śnieżnobiałymi firankami w oknach. Na balkonie z widokiem na zapiaszczony plac, z którego tylko krok był na łąkę. Tu zatrzymywał się cyrk i wesołe miasteczko, tu latem łapali chrabąszcze, a zimą hasali na deskach z przykręconymi łyżwami. Nagle balkon ugiął się pod ciężarem „Hondy”, która wraz z Grzeskiem (gdzie się podziały skrzydła?) runęła na chodnik.

W tym momencie Darek się przebudził. Otworzył oczy w ładnym domu, w urzekającym mieście, ale to nie było jego miasto. Dziś wie: niezależnie od tego, w jakim miejscu na ziemi wówczas by mieszkał — w Oklahomie, nad Tybrem czy Jeziołem Bodeńskim — tęskniłby za swoim miastem tak samo, jak wówczas, gdy przyszło mu żyć we Lwowie.

Darek: — Nie chcę w tym mieście używać słowa „patriotyzm”. Byłoby chyba zbyt pompacyjne. Na pewno jednak tę miłość rodziła we mnie tęsknota. Za kolegami, za podwórkiem, za znajomymi ulicami. Za torami kolejowymi, przez które ukradkiem przebiegało się nie do lasu, nie do parku, pełnego chłopięcych tajemnic. Aby po kryjoku pobuszczać po chaszcach, kryjówek, podglądać ptasie gniazda.

Darek miał jedenaście lat, gdy ojciec — zabrawszy rodzinę, czyli mamę, Alę i jego — wyjechał na placówkę. Awans ojca był dla niego niezrozumiałą karą, przeniesieniem w inny świat, do innej szkoły. Do obcych.

Darek: — Żyłem we Lwowie dziesięć lat. Tam dojrzewałem, tam się kształtowało moje przyjmowanie świata, moje „tak” i moje „nie” do tego świata. Pozornie miała na mnie wpływ rodzina, rówieśnicy. Faktycznie: przemożna tęsknota za Świdnikiem, za krajem.

Skrawek Polski miał Darek w domu i w szkole im. Wandy Wasilewskiej. Była to szkoła rosyjska z wykładowym językiem polskim. Podlegała Ministerstwu Szkolnictwa Ukrainy. Chodziły do niej dzieci mieszanych małżeństw oraz pracowników polskich placówek handlowych i serwisowych.

W szkole działało Kółko Literacko-Dramatyczne „AS”, czyli Amatorzy Sceny. Prowadził je Władysław Łokietko, lwowianin z dziada pradziada, po filologii Uniwersytetu Lwowskiego, „pan od polskiego”.

„AS” był dla Darka także częścią Polski. Tu się popisywał pierwszymi rymowaniami, zaczynał od wierszyków, będąc jeszcze w ósmej klasie, choć przyjmowano do kółka dziewczęta i dziesięcioklasistów. Za względy odpłacał pracą operatora światła, dającą pozycję słuchacza i obserwatora zza kulis.

Po zdaniu matury miał prawo wyboru uczelni. Wstąpił do Instytutu Politechnicznego. Tak zaplanował ojciec: inżynier, specjalista śmigłowcowy, będący jednym z trybów renomowanej fabryki.

Darek: — Nie opierałem się. Jeśli człowiek rozwija swe umiejętności od dziecka, to w wieku siedemnastu lat już wie, czego chce. Gdy bierze z życia mniej więcej wszystko po trochu, trudno mu jest określić cel. Przyznaję: mnie było trudno...

W centrum Lwowa, w sąsiedztwie słynnej fontanny dla zakochanych, stoi jeden z piękniejszych zabytków miasta — pomnik Mickiewicza. Opodal zaczyna się ulica Kopernika. Przy niej Pałac Słubów w dawnej rezydencji Potockich, następnie Galeria Lwowska, Biblioteka Akademii Nauk ZSRR (była „Ossolineum”) i Lwowski Obwodowy Dom Nauczyciela. W nim Polski Teatr Ludowy, przedłużenie artystycznej edukacji młodzieży z dramatycznych kolek szkolnych.

Chodząc do Instytutu, zgłębiając zawilgość znaków, liczb i wykresów, Darek jednocześnie trzymał się sceny. Był aktorem w amatorskim Polskim Teatrze Ludowym. Zwłaszcza po wyjeździe ze Lwowa rodziców teatr stał się jego domem, akademik był tylko sypialnią.

Darek: — Żyłem wśród ludzi czujących i myślących tak samo jak ja. Tam się spełniałem bardziej niż w rodzinie...

Pracował pod kierunkiem Zbigniewa Chrzanowskiego, będącego wychowankiem legendarnego Piotra

Hausvatera, założyciela teatru. Sceną zarządzała Jolanta Martynowicz, spokrewniona ze Stanisławem Wyspiańskim. Wielu ze starszych członków zespołu miało bezpośrednią styczność z bogatymi tradycjami szkoły aktorstwa Stanisławskiego. To fascynowało, wciągało, zobowiązywało. Nadanie teatrowi miana „Ludowego” — nobilitowało. W nomenklaturze radzieckiej było formą uznania dla poziomu artystycznego sceny, stanowiącej część polonijnej kultury w Związku Radzieckim, sceny odznaczonej nagrodą Ministerstwa Kultury i Sztuki PRL — „Zasłużony dla kultury polskiej”.

W okazałym budynku Domu Nauczyciela oddano teatrowi widownię ze sceną i kilka pomieszczeń. Były magazynem, garderobą, miejscem spotkań zespołu. Tu trzymały kostiumy, w łwiej części zebrane dzięki zapobiegliwości matki chrzestnej zespołu, byłego konsula generalnego PRL w Kijowie — Wandy Michalewskiej. Inne przysłał teatr kielecki, jeszcze inne — do „Wesela” — Narodowy Hruszczewicz. Tu dyskutowano, spierano się, uczono teatru. Chrzanowski był kierownikiem artystycznym i reżyserem, przyjacielem i jakby starszym bratem młodzieży. Sławista po Uniwersytecie Lwowskim, absolwent wydziału reżyserii Moskiewskiej Szkoły Teatralnej, profesjonalista. Potrafił uczyć, wychowywać, skłaniać do zespołowego wysiłku.

We Lwowie Darek pracował jak tyran, a mimo to — dzisiaj już to wie — pracował za mało. Rano uczelnia, po południu próby, w sobotnie i niedzielne wieczory — spektakle. W nocy porządkowanie sceny, omawianie potknięć i sukcesów. Czasami powód do życzliwej wesołości, jak wtedy, na przedstawieniu „Wesela”.

Finał. Postacie nasłuchują tętentu nadjeżdżającego konia Jaska. Aktor grający Gospodara nagle się poślizgnął z szablą uniesioną w górę wjeżdża w pierwsze rzędy widowni. Starsza pani krzykuje: „Wody” i mdleje. Inna odkrzykuje: „Tu nie ma wody, tu jest teatr!” Ogólny śmiech, brawa, nazajutrz znów pełna widownia.

Gdy drugi, trudny rok studiów w Instytucie miał się ku końcowi, Darek był pochłonięty Różewiczem. Zamiast się uczyć od kropli do kropli przedmiotów ścisłych, chłonał moralistę krytykującego następstwa szalonej i szalejącej cywilizacji. Lwowska publiczność po raz pierwszy zobaczyła awangardową sztukę „Stara kobieta wysiaduje”, autora nawet w Polsce nie znanego do końca. Darek grał Młodzieńca.

„Czerwony Sztandar” napisał: „Tło muzyczne to [...] bicie naszych serc, krew pulsująca w naszych żyłach, mózg intensywnie pracujący na rzecz... czego? Humanizmu. Wiary. Potrzebnego niepokoju. [...] Reżyser spektaklu Zbigniew Chrzanowski wraz ze scenografem — Eugeniuszem Łysykiem stworzyli [...] obraz o wielkiej ekspresji, namalowany rzekłbyś ręką milionów ludzi. Obraz, na którym każdy z nas znajdzie siebie. Jest w tym po prostu cały Różewicz”.

Darek, pochłonięty sceną, zawałił drugi rok w Instytucie. Studiował bez przekonania. Elektronikę zdawał... siedem razy. Pomimo to pozwolono mu rok powtarzać. Do trwał do trzeciego semestra.

Darek: — Wtedy się zbuntowałem. Zatelefonowałem do domu i oświadczyłem, że dłużej tak żyć nie mogę, że wracam do Polski, chcę zmienić kierunek studiów.

Miał w tym zapamiętaniu jeszcze tyle rozsądku, by przedstawić sytuację w Konsulacie. Tu go zrozumiano i — choć powinien być z Instytutu wyrzucony — udzielono pomocy. Zachował status studenta, z możliwością kontynuowania nauki na drugim roku Politechniki Lubelskiej.

Ze Lwowem żegnał się wiosną 1981 roku. Miał dwadzieścia lat. Wówczas rozmawiał z Chrzanowskim tysięczny raz. O sobie, spalającym go uczuciu do teatru, szansach na wykonywanie zawodu aktora Chrzanowski zrobił analizę jego osoby i osobowości. Wykazał zalety i braki: nie najlepszą dykcję, słaby wzrok, pewną miękkość w zachowaniu, kontrastującą z wyglądem zewnętrznym, powodującą, że nie to się słyszy, patrząc na jego posturę. Nie gwarantując powodzenia, zachęcił jednak do studiowania aktorstwa, do pra-



cy, pracy, pracy, która obok łut szczęścia i talentu w dziewięćdziesięciu procentach decyduje o sukcesie. Dał mu do zrozumienia, że to, co robił we Lwowie, nie było najgorsze, że ma predyspozycje, ale ich wydobycie zależy wyłącznie od niego.

Darek: — To Chrzanowski był największą siłą motoryczną moich późniejszych poczynaniach...

W domu matka się rozplakała, ojciec zdenerwował. Rodzice wiedzieli to, czego zapalenie sobie nie uświadamiali. Po dziesięciu latach życia we Lwowie, po nauce w tamtejszych szkołach, miał inny zasób wiedzy. Nie znał historii Polski i ojczystego języka w takim stopniu, w jakim są wymagane na polskich uczelniach humanistycznych.

Zaczął więc naukę na Politechnice Lubelskiej od zaliczenia — po zdobyciu potrzebnych podręczników, skryptów, po wkuwaniu non stop — wielu przedmiotów, co było związane z innym profilem szkoły. Nie na wiele się to zdało. Był rok 1981, czas społecznych niepokojów, strajków. Studiował jeden miesiąc. W chaosie uporczywie powracała wciąż ta sama myśl: teatr i ucieczka z Politechniki, której — wtedy już to wiedział na pewno — nie skończy.

Zaczął starania o przeniesienie na UMCS, do Instytutu Wychowania Artystycznego.

Darek: — Żeby być bliżej teatru.

Kolejdy żartobliwie: — Istotnie, budynek uczelni stoi prawie vis-à-vis „Osterwy”.

Po „ryciu” nocami, po zdaniu znowu iluś tam uzupełniających egzaminów, został studentem Uniwersytetu, nieustannie powtarzając sobie i zdeзорientowanej rodzinie: — Po to, by kiedyś stanąć na scenie. Także po to jeździł ze Świdnika do Warszawy (sto osiemdziesiąt kilo-

metrow w jedną stronę) na dobre i na gorsze przedstawienia, które analizował, rozkładał na czynniki pierwsze.

Tak jak zamierzał, któregoś dnia zajął za kulisami Teatru Dramatycznego im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Maszyniście opowiedział o swojej najwspanialszej miłości. Ten go odesłał do kierownika, kierownik do dyrektora, sekretarka była życzliwa.

Po kilku dniach stanął przed Ignacym Gogolewskim. Miśtrzem Wzorem. Świętością. Słowami: „Kocham teatr”, zapomniał języka w gębie. W zaprezentowaniu czegośkolwiek przeszkadzało mu wszystko: biurko, krzesła, światło wpadające przez wysokie okna. Wreszcie zdecydował się na Puka: „Cały gaj przebiegłszy cwałem/ Ateńczyka nie zdyszałem/ By tym kwiatkiem w jego oku/ Sprawdzić potęgę uroku/ Noc i ciś... kłóć tu leży?”

Dyrektor spojrział na elfa dożył dziwnym wzrokiem. Zapytał: — Ile pan ma wzrostu?

— Metr osiemdziesiąt dwa... Kazał mu usiąść. Wezwał kierownika działu kadr i dał przyby-

zanowski, kreujący rolę Łanskoja Darek dowiedział się o tym rano, w południe wzięto go na próbę, wieczorem zagrał adjuanta. Dyrektora wówczas nie było. Wrócił po tygodniu, popatrzył i zdecydował: — Zagramy, panie Darku, razem. Grał Puzkina na zmianę z Henrykiem Sobiecharem.

W teatrze powiało sensacją, w Darku wybuchł wulkan. Sufierka ustawiła się za kulisami do jego dyspozycji, podejrzewając, że na widok dyrektora straci mowę. Nie stracił. Dokładnie tak, jak było trzeba, on — Łanskoj, złapał Gogolewskiego-Puzkina za surdut i wyrzucił ze sceny.

Darek: — Ogromnie to przeżyłem...

Po przedstawieniu dyrektor zadedykował mu program: „Za zapal i pracę nad rolą Łanskoja — Ignacy Gogolewski”.

Po Politechnice nauka na UMCS nie była ponad siły. Dawała luzu na przygotowywanie się do szkoły teatralnej. Darek obkładał się książkami, podręcznikami, słownikami. Miał na podorzędzi encyklopedie. Uczył się prze-

predyspozycji, ndst z elementarnych zadań aktorskich. Prodziekan wyjaśnił: — To jest tak, panie Buchowiecki, jak z kochanką. Im szybciej pan ją rzuci, tym szybciej pan zapomni.

Darek: — Przez tydzień przeżyłem to, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłem. Byłem jak obłąkany. Uświadomiłem sobie, że teraz to tylko wóz, albo przewóz. Dojrzałem w tempie bijącego pioruna, ale też mówiłem sobie, nie, wtedy sobie przysięgałem, chcę, czy nie, a ja i tak aktorem zostanę.

Koleczy mu pomogli. Powiedzieli: — Popatrz, Marek się potyka, Jackowi nie wszystko wychodzi. Nazwali bzdurą wystawianie dwójek w szkole, gdzie nie jest constans, gdzie wszystko jest płynne, a sto różnych interpretacji i tysięcy odmiennych gestów może być jednakowo dobrych, choć wszystkie będą inne. Zdecydowali: napiszesz odwołanie. Napisał. Zostało uwzględnione.

Darek: — To doświadczenie też było mi potrzebne. Człowiek najbardziej docenia to, co traci...

Zaczął katorżniczą pracę. Fizyczną i psychiczną. W celach warsztatowych wyzywał się kindersztuby, taktu i układności. Obnażał prywatność, pokonywał wstyd przed pokazywaniem nagości, odkrywaniem myśli. Pracował nad ostryścią wyrazu. Osterwa mający nieskazitelną, krystaliczną wymowę potrafił czytać godzinami, delektować się na przykład słowami „szumi las”. Dla przeciętnego śmiertelnika nic one nie znaczyły. Dla niego miały niepowtarzalne brzmienie. Darek też godzinami czytał, mówił, eliminował lwowskie naleciałości, uroczy kresowy akcent, dobry na imieninach u cici, wadzący na scenie. Spokorniał. Przestał się obruszać na rodziców, którzy witali go słowami: — Artysta przyjechał...

Był po drugim roku, gdy umarła matka.

W szkole nie mógł sobie pozwolić na uzewnętrznienie żaloby.

Trzeci rok zaliczył na same czwórki i piątki. U dziekana, który go wyrzucił po pierwszym semestrze, dostał piątkę z plusem.

W 1986 został magistrem sztuki.

Darek: — Teraz będę się starał zostać aktorem.

Tematem pracy napisanej pod kierunkiem dr. Ireneusza Guszpiła jest próba monografii Polskiego Teatru Ludowego we Lwowie. Dyplomowym przedstawieniem był dramat Miodraga Bułatowicza „Czerwony kur leci wprost do nieba”. W tej rzeczy o człowieczeństwie grał Jovana-włóczęga.

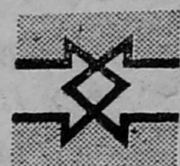
Zatrudniono go w szczecińskim Teatrze Współczesnym. Nie mógł trafić lepiej. W Teatrze Polskim w tym mieście reżyseruje Zbigniew Chrzanowski, który wyemigrował ze Lwowa.

Darek: — Wśród wielu cech ojciec przekazał mi uczciwość. Nie sprzeniewierzyłem się tej zasadzie. Byłem uczciwy wobec siebie i będę, jestem pewien, uczciwie wykonywał swój zawód. Chciałbym choć w części spłacić dług wdzięczności, jaki zaciągnąłem u ojca. Nie był zachwycony moim wyborem. Mimo to cierpliwie pomagał mi przez tyle lat.

Post scriptum Marii Szczechówny: — Sukcesy młodych aktorów są jakby przedłużeniem nas samych. Cieszę się, że podczas wspólnej nauki miałam jeszcze tyle energii, by pobudzać pasję Darka, jego ambicję, wiarę w siebie. Nieustannie przeżywał burze i kataklizmy, utrudniające mu drogę do spełnienia, do zdobycia własnego Everestu. Dysponuje wszelkimi cechami potrzebnymi aktorowi. Jest inteligentny, wrażliwy. Ma doskonałe warunki zewnętrzne. Jedynie, o co można się niepokoić, to zbyt dobre wychowanie, głęboko zakorzeniona delikatność, wyniesione z domu. W niektórych rolach będzie mu to przeszkadzać. Darek nie umie „pracować” lokciami. We współczesnym świecie jest to, niestety, wada. Na zjeździe absolwentów szkoły im. Zelwerowicza Bardiniego powiedział: „Teatr to maszynka do mielenia ludzi”. Mam nadzieję, że teatr Darka nie zmiele. Jest mu bez reszty oddany. Dowiódł tego wieloma latami zmagania z życiem i z samym sobą. Chciałabym, aby teatr odwzajemnił tę miłość.

Fot. TADEUSZ CHWAŁCZYK

spiećcia



9
KONTAKTY
1987-08-16

Personel gabinetu kosmetycznego PSS „Spolem” przy ulicy Świerczewskiego w Łomży od dawna już wyznacza klientom datę i godzinę wizyty, od niedawna natomiast pobiera zaczęły zaliczki za przyszłą usługę. Jeżeli ktoś złamie nogę, nieoczekiwanie zmuszony będzie wyjechać itp. — zaliczka oczywiście przepada. Kto wycisnie ten usługowy pryszcz?

Aby rozpocząć budowę, inwestor i wykonawca zgromadzić muszą około 30 decyzji administracyjnych. No i mamy te wymarzone domki z kart.

Coraz częściej docierają do nas sygnały, że kasa przedsprzedaży PKS w Łomży wysprzedaży bilety do ostatniego miejsca, w dodatku na kilka kursów w danym dniu. Gdyby uformalizować tę praktykę: wprowadzić podania, komisję przydziałową i talony na wyjazd — PKS odzyskałby wreszcie nadweryżony prestiż.

W sklepach fototechnicznych od długiego czasu brakuje utrwalacza. Amatorów na ten specyfik jest bardzo wielu, ale nie tylko handel, bo i producent, nie obiecuje poprawy. Nie pierwszy raz starcza nam środków jedynie na wywołanie.

W przypadku zbitcia szyby samochodowej w wyniku uderzenia kamieniem wyrzuconym przez inny pojazd, PZU wystarcza oświadczenie poszkodowanego, który nie musi znać numeru rejestracyjnego samochodu mimowolnego sprawcy. I jest to sensowne. Inaczej rzecz ma się jednak, gdy w takich samych okolicznościach stłuczce ulegnie reflektor. Wówczas bezwzględnie wymagane jest oświadczenie kierowcy pojazdu, spod którego kół wyskoczył feralny kamień. Uzyskanie powyższego dokumentu jest najczęściej nierealne (stłuczkę można zauważyć dopiero po zatrzymaniu się; należałoby potem ścigać pojazd, który nas wymijał lub wyprzedzał, co i tak niczego nie gwarantuje, bo pojazdy czasami jeżdżą jeden za drugim i ustalenie „sprawcy” jest wówczas zupełnie niemożliwe). Dlaczego więc w dwóch identycznych sytuacjach stosuje się odmienne przepisy? Ponieważ stłuczki reflektorów zdarzają się częściej niż szyby i PZU częściej musiałoby płacić. A wiadomo: przezorny zawsze ubezpieczony.

W okresie szczytu turystycznego zamknięty został przejazd przez Nowogród. Objazd skierowano oplotkami, na których połamane można resory, podporządkowując w dodatku tę — główną przecież teraz — trasę dróżkom wodzącym donikąd. Spełniły się wreszcie słowa wieszczki o grajdolskiej przyszłości: „Jeszcze będzie zabawa na naszej ulicy...”

W wyniku konkurencji firm skupujących runo leśne, cena kurki doszła już do 600 złotych za kilogram. W związku z tym dochodzą nas głosy, że należałoby wreszcie wziąć towarzystwo za pusk i nakazać, jakie wolno im oferować ceny. Bo do czego to prowadzi? Do prawdziwej gospodarki opartej na prawach ekonomicznych, a nie twoim widzimisię, stary grzybie!

Nagrodę 500 złotych za sygnał tygodnia „To się nadaje do „Spiećcia” otrzymuje autor informacji o ubezpieczeniu się PZU.



szowi z ulicy etat adepta sztuki. Więcej. Obiecał umożliwić jednocześnie studiowanie.

Darek szalał ze szczęścia, rodzice — z rozpacz. W spokojnej, dobrze ułożonej rodzinie — ale bez fortepianu i jakichkolwiek artystycznych tradycji — syn-komediant był cudakiem. Nie mieścił się w normie. Ojciec — wzór akuratałości, dyscypliny i wczesnego wstawania, synonim pracowitości, matka — idealna pani domu, dbająca o koronki na pościeli i konfitury z czereśni. Ala — studentka medycyny; wszyscy oni, patrząc na Darka, widzieli czarno.

Jemu rosły skrzydła. Obsadzono go w „Maskaradzie” Iwaszkiewicza, w roli Łanskoja — adjuanta cesarza. Roli drugoplanowej, ale znaczącej. W drugim akcie cały czas był na scenie. Dla młodego człowieka, amatora, była to rola-morze.

Darek: — Utopiłem się w tym morzu...

Więcej chciał, niż mógł. Mimo wielu lat amatorskiego grania we Lwowie nie miał zielonego pojęcia o tym, co robi. Gogolewski go nie znał. Zapewne liczył, że młodziemczością i zapalem pokryje braki warsztatowe. Przed premierą poprosił adepta na dywanik. Delikatnie i kulturalnie, ale bez ogródek powiedział, że nie daje sobie rady, że jest niepotrzebny.

Darek: — Mistrz miał świętą rację. Takie otrzeźwienie było mi potrzebne, choć rwało jak bolący ząb.

Kopniak nie wyrzucił Darka z teatru. Pamiętał nauki Chrzanowskiego i gdzieś tam, w głębi duszy, jednak wierzył w siebie. Został w teatrze chłopcem na posyłki, wozół do stolicy paczki, przysłał się próbom, pracował za kulisami. Gogolewski to widział i pozatykał nim różne dziury w spektaklu. Po czym stało się tak, jak w opowieści z filmu. Zachorował Marek Pra-

kazywania tekstów, interpretacji, wyrzucania z siebie tego, co ma. Pod okiem doświadczonej aktorki, Marii Szczechówny, w jej prywatnym mieszkaniu.

Spróbował szczęścia w krakowskiej PWST im. Ludwika Solskiego. Nie został przyjęty. Przewodniczącą komisji egzaminacyjnej, Danuta Michałowska, były prorektor szkoły, pożegnała go słowami: — Do zobaczenia za rok. — Uznał je za proceze.

Istotnie, za rok zdawał znowu. W Krakowie nie miał odwagi. Pojechał do filii szkoły, do Wrocławia. Na czternaście miejsce było dwustu kandydatów. Wśród nich on — u-party, zacięty, jeszcze lepiej przygotowany przez panią Marię. Przebrnął przez wszystkie przeszkody.

Darek: — To był początek nieznanego życia. Jakby zejście z obłoków na ziemię. Nie, nie rozczarowanie, ale coś, jakby po kosmicznej drodze na księżyc zamiast niego rozbłysła żarówka. Też świecąca, ale jakże inaczej... Po osiągnięciu celu mego życia, do którego brnąłem tyle lat, cel nagle zyskał inne wymiary. Nie mniejsze. Po prostu inne. Szkoła się odbrazowała. Okazała się ziemskim przybytkiem, gdzie nie było miejsca na „ach” i na „och”, gdzie po prostu wymagano realizowania programu.

Zamieszkał w akademiku. Wkrótce po rozpoczęciu roku jeden ze starszych kolegów, świetnie zapowiadający się aktor, popełnił samobójstwo. Darek nie wytrzymał tego psychicznie. Przeniósł się na stancję, gdzie było spokojniej, ale znacznie skromniej. Komorne pochłaniało sporą część pieniędzy przysyłanych z domu.

Po pierwszym semestrze profesor pogratulował mu publicznie daru koncentracji. Następnego dnia dowiedział się, że skreślono go z listy studentów. Powód: brak postępów

Nieznane Grajewo wydało się Józefowi Korbanowi przystającą wystarczająco zachęcającą jak dla kogoś, kto nie ma do kąd wrócić. W więzieniu słyszał, że w okolicach Grajewa jest sporo bogatych, wielohektarowych rolników, więc o dobrze płatną, sezonową robotę nie trudno. Na razie jednak postanowił zdobywać chleb pocąc się przy tym jak najmniej. Mentalność chłopów, z których się przecież wywodził, znał dobrze, a ich naiwność wypróbował już dużo wcześniej. W czasie jedenastu lat „kiblowania” nauczył się różnych nowych „sposobów”. Chodził od wsi do wsi, od chałupy do chałupy. Dla napotkanych był niemyym biedakiem żebającym o litościowy grosz na bilet do Kwidzyna. Wypisaną na skrawku prosbę podsuwał znieścacka wieśniakowi, który — zażenowany — wspomagał nieszczęśnika. W miasteczkach początkowo pokazywał się rzadko. Wprawdzie kusily one licznymi atrakcjami, lecz kryły również w sobie sporo niebezpieczeństw, szczególnie dla tego, kto nie był nigdzie zameldowany, nigdzie nie pracował. Korban nie miał nawet do wodu osobistego — zgubił go zaraz po wyjściu za więzienną bramę. Już w Jedwabnem milicja spisała go i postraszyła. W Radziłowie funkcjonariusze MO potraktowali włóczęgę jeszcze surowiej: sporządzili wniosek do kolegium. Nie był w stanie zapłacić grzywny, a poza tym trzy zimowe miesiące w ciepłej, białostockiej celi nie wydawały się najgorszą perspektywą.

Na początku 1980 r. Józef Korban pojawił się znów w Grajewie. Nauczony świeżym doświadczeniem postanowił znaleźć sobie jakąś, w miarę stałą, pracę. Nie musiał szukać długo ani daleko: zdecydował się na rozładunek ziemniaków z wagonów. Przy takiej właśnie okazji wpadł w oko Józefowi Ziembkowskiemu, rolnikowi ze wsi Kolonia Ruda, który zaproponował mu łatwiejszy zarobek u siebie, przy wywóźce obornika. Za 4 dni z dobrą wyżywką i noclegiem dostał 400 złotych. Praca ta zapracowała ponadto poznanie innych rolników, również cierpiących na brak siły roboczej. I tak pracując to tu, to tam, czy to pomagając przy budowie lub innych pracach gospodarskich, czy przy ścinie drzew, bądź zbierając butelki itp., nucując najczęściej w stodolach lub stogach, cały czas w okolicach Grajewa, Moniek, Elku, dotrwał Korban do 10 grudnia 1981 r., kiedy został zatrzymany za włóczęgostwo. Miał zapłacić 5000 złotych grzywny lub odsiedzieć 90 dni w areszcie. Zamiana w tym okresie bardzo mu odpowiadała...

Było zimno, w barach coraz droższe i gorsze żarcie, a w jego ulubionym rejonie działania, czyli w okolicach Grajewa, wciąż kręciła się milicja. W listopadzie 1981 r. miały tam miejsce dwa wydarzenia, które zbulwersowały mieszkańców, a takiego biednego włóczęgę, jak on, narażały na dodatkowe zainteresowanie stróżów porządku. W Danowie zamaskowani młodzieńcy torturowali leciwe małżeństwo, żądając pieniędzy, w Klimaszewnicy zaś ktoś zamordował staruszkę, Stefanię Kozłowską.

Kozłowska należała do tych, którzy nie wadzą nikomu. Mieszkała przy drodze, lecz blisko kilometr od pierwszych zabudowań wsi. Od lat żyła samotnie. Utrzymywała się z renty inwalidzkiej oraz świadczeń za oddany w dzierżawę kawałek ziemi. Nie we wszystkich oczach uchodziła jednak za ubogą. Wielu intrygował drewniany kuferek, z którym staruszka nigdy się nie rozstawała, a kluczyk do niego chowała w najprzemysłniejszych kryjówek. Tajemnicza skrzynka mogła zawierać równie dobrze listy miłosne sprzed pół wieku, ważne dokumenty lub pamiętnik. Ale ponieważ Stefania Kozłowska miała rodzinę w USA, wielu optowało za mniej romantycznym wariantem, twierdząc, że trzyma ona pod kluczem dolary.

14 listopada Franciszka Kuczyńska z Białaszewa pasała krowy w pobliżu domu Stefani Kozłowskiej. Około 16.00 zaszła do niej na pogawędkę. Drzwi od sieni i mieszkania były uchylone. Zastanowiło ją to, gdyż Kozłowska zawsze dokładnie je zamykała. Szczególnie ostatnio, gdy skarżyła się na różne dziwne wizyty, przyznawała, że „boi się złych ludzi”. Franciszka Kuczyńska weszła do środka. Staruszka leżała na podłodze, krzepnąca krew ota-

PROCES POSZLAKOWY

DANUŚ I ALEKSANDER
WRON SZEWSKY

czła jej głowę niczym brunatną aureolą. Kuferek stał na swym zwykłym miejscu w kącie pokoju. Był otwarty. Ograbiony ze swej tajemnicy i — prawdopodobnie — zawartości.

Prowadzący śledztwo nie mieli wątpliwości, że celem mordercy był rabunek. Sprawca jednak nie pozostawił — poza spostrzeżeniami, przypuszczeniami i obrazami zarejestrowanymi w zwodniczej ludzkiej pamięci — żadnych śladów.

— Gdy byłem u babci 1 listopada — zeznał Stanisław Kozłowski — zwierzyła mi się, że nawiedza ją jakiś włóczęga. Wysoki, jeszcze młody, z kilkudniowym zarostem na twarzy, brudny. Ubrany w siwe, robocze ubranie, gumowe buty. Wszedł do mieszkania przez okno. Powiedział, że chce się przespać. Babcią poszła więc do swego pokoju, a on położył się na podłodze w kuchni. Rano wyszedł drzwiami. Jakiś czas później sytuacja się powtórzyła.

W okolicy zdarzały się w tym czasie również inne niecodzienne wizyty. Józefa Zalewska z sąsiedniego Białaszewa aż zamarła z przerażenia, gdy wychodząc do krów ujrzała na schodach domu obcego mężczyznę. Córka z mężem i dziećmi właśnie pojechali do Radziłowa. — Zapytałam go, czego chce — opowiadała Zalewska — a on odrzekł, że by się czegoś napił. Nalałam mu wody z kranu na podwórku. Wtedy on powiedział, że nie chce pić, tylko wejść do mego domu. Nie namyślając się zamknęłam drzwi na klucz i bez słowa poszłam za stodołę, skąd ukradkiem go obserwowałam. Chwilę postał, potem pokręcił się na podwórku i wreszcie wyszedł na drogę.

Józefa Zalewska tak opisała dziwnego nieznajomego: mniej więcej 50 lat, około 170 centymetrów wzrostu, krepły, włosy „siwawe”. Ubrany w szarą, zniszczoną marynarkę, wytarte spodnie. Trochę się jąkał, być może tylko udawał.

Inna mieszkanka Białaszewa też zauważyła w tym samym mniej więcej czasie pięćdziesięcioletniego włóczęgę. Wydał się jej szczupły i wysoki (185—190 cm). Nosił sukieniny płaszcz stalowego koloru i czapkę. Zwróciła na niego uwagę, gdyż miał błędny wzrok i ironicznie się uśmiechał.

Pierwszym zatrzymanym podejrzanym był Józef Radyszewski, rocznik 1932, nigdzie niezameldowany i oficjalnie nigdzie niepracujący, jednym słowem — włóczęga około pięćdziesiątki. W połowie października podjął się on wyrabiania mat sromianych u Antoniego Rydzewskiego z Jeziorka. Pracował do 14 listopada. Tego też ranka około dziesiątej pojechał do Jedwabnego, gdzie wypił w restauracji dwie duże wódki i piwo. Około południa ruszył autobusem do Radziłowa. W tamtejszym barze uraczył się tylko wodą mineralną. Pobyt w Radziłowie zajął mu jednak dobre dwie godziny, gdyż dopiero około 15.00 znalazł się w Grajewie. W barze „Uniwersalnym” wypił 100 gram wódki i dwa piwa. O zmroku wrócił pieszo do Radziłowa drogą przez Karwowo, gdzie wszedł do jakiegoś domu napić się wody. Ponieważ nie było w nim nikogo, a drzwi otwarte, wziął kozuch, którego natychmiast zresztą się pozbył, sprzedając przygodnie spotkanemu rolnikowi za 750 zł. Dalej piechotą doszedł do wsi Okrasin. Siostra cioteczna nakarmiła go i przenocowała. Wstał już o 6 rano i znów piechotą, autobusami i okazjami „kursował” całą niedzielę między Mścichami, Grajewem, Białaszewem, Wojewodzinem i Wierzbowem. W poniedziałek, 16

listopada, ożywione wędrowanie przerwała mu milicja: „zwinęła” go w radziłowskim barze przy wodzie mineralnej.

Teoretycznie miał czas i możliwość wpaść 14 listopada do Klimaszewnicy i pozbawić życia Stefanię Kozłowską. Jednak portret pamięciowy intrygującego włóczęgi, sporządzony na podstawie zeznań większości świadków, był odbiciem twarzy Józefa Korba, a nie Józefa Radyszewskiego. Świadkowie z przedstawionych im zdjęć różnych mężczyzn również bez wahania wskazywali na podobiznę Korba. Wkrótce przedstawiono mu zarzut zabójstwa Stefani Kozłowskiej.

Sąd Wojewódzki w Łomży miał trudny orzech do zgryzienia, gdyż opierać się musiał z konieczności na poszlakach i zeznaniach świadków, nie zawsze jednoznacznych. Najbardziej bezsporny był fakt, że Stefania Kozłowska została zamordowana w sobotę, 14 listopada 1981 r., między godziną 13.00 a 15.00, uderzeniem siekierą w tył głowy. Dwa dni wcześniej Wacław Masłowski zauważył Korba stojącego naprzeciw domu staruszki. Na widok rolnika mężczyzna odwrócił się i niby coś notował na kartce papieru. Wówczas Masłowski sądził, że to jakiś geometra.

14 listopada Jarosław Czaplicki podwoził z Białaszewa do Klimaszewnicy 50-letniego, dobrze zbudowanego mężczyznę w szarej jesionce i gumowcach. Bez trudu rozpoznał go na fotografii. Nieznajomy, tj. Józef Korban, interesował się mieszkańcami wsi, dziwił temu, że staruszkowie, jak na przykład Kozłowska, nie boją się samotności i oddalenia od ludzi.



Anna Szejter z Klimaszewnicy tego dnia grabiła z córką siano na łące w pobliżu domu Stefani Kozłowskiej. — Około 14.00 — zeznała — od strony lasu wyłonił się jakiś mężczyzna. Gdy zaczęliśmy pałnąć w jego kierunku, skrył się między drzewami. Taka zabawa „w chowanego” trwała może z godzinę. Potem człowiek ten poszedł w stronę domu Stefani Kozłowskiej. Wkrótce powrócił i jeszcze raz odbył tę samą drogę.

Z tej sporej odległości ukrywający się przed wzrokiem Anny Szejter mężczyzna wydał się jej krepły, trochę łysawy i lekko pochylony. Mógł mieć około 170 cm wzrostu. 14 listopada około 14.00 drogą z Białaszewa do Klimaszewnicy szedł Jan Borawski. W pobliżu domu Koz-

łowskiej został zatrzymany przez wysokiego mężczyznę w szarej jesionce i berecie. Nieznajomy poprosił o przypalenie papierosa. Po chwili dołączyła do nich przechodząca obok Janina Danowska. Czas jakiś postali razem, rozmawiając. Nieznajomy jakby kogoś wypatrywał, rozglądał się. Kiedy się rozeszli, Danowska obejrzała się: mężczyzna szedł w stronę Białaszewa, ale gdy za moment spojrzęła za nim raz jeszcze, już go nie zobaczyła. Musiał skręcić w las, bo do zakrętu dojechał by nie zdążył. Oboje wybrali bez wahania zdjęcie Korba.

Zarówno 12, jak i 14 listopada w relacji Józefa Korba wygładały nieco inaczej. Dwunastego zamierzał jedynie być w Klimaszewnicy, lecz nie był, gdyż nie złapał autobusu. Czternastego ruszył z Grajewa do Białaszewa piechotą. We wsi poprosił jakąś kobietę o wodę. Ta ugotowała mu herbaty. Do Klimaszewnicy zabrał się furmanką. Miał tam odwiedzić rolnika imieniem Mariana, którego siostra przebywała właśnie w Stanach i mogłaby załatwić zaproszenie dla jego córki. (Notabene, od czasu, gdy został w 1968 r. aresztowany za usiłowanie zabójstwa, rodzina zerwała z nim kontakt, a gdy wyszedł z więzienia, żona i dzieci nie chciały go przyjąć w domu). Mariana w domu nie było. Natychmiast zawrócił. Po drodze minął dom Kozłowskiej, nie zatrzymując się przy nim. Dwieście metrów dalej spotkał idącego z naprzeciwka samotnego mężczyznę. Zaraz doszła do niego jakaś kobieta. Porozmawiali. W las skręcił „za potrzebą”. Do Białaszewa dotarł około 13.00, do Grajewa jakieś trzy godziny później, gdyż długo nie mógł złapać „okazji”.

Józef Korban stracił trochę na pewności siebie, gdy dowiedział się o wyniku badań fizyko-chemicznych mikrowłókien znalezionych na jego jesionce. Były one bowiem identyczne jak te z kamizelki i chustki zamordowanej. W pierwszym odruchu zmienił zeznania dotyczące swej garderoby. Oświadczył, że 14 listopada miał brązową jesionkę, a szarą znalazł na początku grudnia w rowie przy drodze do Elku i dopiero wtedy zaczął ją nosić. Brązową wyrzucił, gdyż była bardzo zniszczona. Później jednak poszedł po rozum do głowy i wrócił do pierwszej wersji, twierdząc — nie bez racji zresztą — że został zatrzymany blisko miesiąc po tragicznym zdarzeniu i przez ten czas stykał się z wieloma ludźmi, więc mikrosłady mogą pochodzić również z ich odzieży.

Innych śladów zloczyńcy nie pozostawił. Donikąd zawiódł też kolejny trop: Anatol Sikora zeznał, że poznał w areszcie w Białymstoku pewnego trzydziestolatka z okolic Grajewa, który uświadomił go, iż jego rodzinne strony są strefą dolarową, w której można się nieźle obłowić. Spotkali się po wyjściu na wolność w listopadzie 1981 r. Namawiał on wtedy Anatola Sikorę na napad rabunkowy lub zabójstwo starszej kobiety mającej „dużo pieniędzy i dolarów”, a mieszkającej samotnie. Sikora nie zgodził się, a gdy znów się spotkali 20 lutego, znajomy pochwalił się: „Robota zrobiona” i pokazał mu portfel z dolarami i złotymi. Powiedział też, że zabójstwo dokonał ze współnikiem z okolic wsi Kolonia Przechody. Przeszukania u obu mężczyzn, w parę miesięcy po śmierci Stefani Kozłowskiej, nie dały najmniejszego rezultatu.

Niewystarczające okazały się też dowody wobec Józefa Korba. Sąd Wojewódzki w Łomży uwolnił go od zarzutu zabójstwa. 2 sierpnia 1983 roku Korban odzyskał wolność. Nie na długo. Niespełna rok później zatrzymany został ponownie, tym razem za uchylanie się od płacenia Annie Wojciechak dożywotniej renty za trwale okaleczenie jej przed 15 laty przy próbie zabójstwa. Wyrok: trzy lata pozbawienia wolności okazał się mało uciążliwy: amnestia niejako automatycznie zmniejszyła go o połowę, zaliczono mu też pobyt w areszcie tymczasowym i już w końcu grudnia 1984 r. Korban znów zaczął odwiedzać swoich dobrych znajomych, rolników spod Grajewa, Radziłowa i Moniek. (Cdn.)

Niektóre imiona i nazwiska zostały zmienione.



Ta wystawa — jak żadna dotąd — pokazuje, jakich trzeba sił duchowych, aby u nas dokonać czegoś, co nie ma wymiaru doraźnej użyteczności albo nie blyszy „pożłotkiem” jubileuszowej czy innej fety. Adam Chętnik, twórca skansenu Kurpiowskiego w Nowogrodzie (drugiego, historycznie rzecz biorąc, na polskiej ziemi, lecz pierwszego w Polsce niepodległej) budował go od podstaw dwukrotnie — przed sześćdziesięciu laty i przed trzydziest pięciu, po wojennym rozgromie.

Za każdym razem zajęło mu to o wiele więcej czasu niż Bogu stworzenie świata. Ale bo też pan Adam z boskich przymiotów miał jedynie chyba cierpliwość, reszta to same tylko ludzkie

Nowogrodzie”, otwarta w końcu czerwca w Muzeum Okręgowym, będąca wstępem do rocznicowych obchodów, które odbyć się mają jesienią. Scenarzystce, Wiktorii Kunickiej, bardzo pomógł szczegółowy przypadek odnalezienia w kwietniu tego roku, podczas robót przy jednym z domów przy ul. Nowogrodzkiej w Łomży, zbioru pamiątek po Adamie Chętniku. Pisał o tym szczegółowo na łamach „Kontaktów” Adam Dobroński, co zwałnia mnie z prezentacji zawartości tego skarbu. Nadal on jednak całej wystawie rys intymności i to takiej, którą zwykle, nie tylko przy jubileuszach, skrywa się przed gośćmi, nawet bliskimi.

Oto z jakże wielu pamiątek (listów, protokołów, rachunków, zapisków) wyziera ciągle niedostatek nie tylko pieniędzy czy innych środków materialnych dla

stworzenia skansenu — miejsca utrwalenia śladów przeszłości ludu żyjącego w Puszczy Zielonej, ale także zwyczajnego zainteresowania ze strony różnych tzw. czynników. Pierwszy dzień stworzenia skansenu jednako był trudny w sanacyjnej i w ludowej Polsce.

Nie wiem, jakiego rodzaju „lupe” odpowiedzieć odwiedzającym wystawę, aby zdołali wyczytać z wielu setek szczegółów wielkość idei Chętnikowej. Twórcy wystawy, poza jej realizatorami, nie uczynili nic, aby to ułatwić. Brak nie tylko przewodnika czy katalogu, ale nie ma najmniejszego choćby karteluska, który zawierałby kalendariusz życia Chętnika i jakieś zdjęcie ze skansenu. A gdzie kolorowe pocztówki, składanki o Nowogrodzie, sztuce kurpiowskiej? Ponoć leżą w magazynach „Ruchu”. A dozorcę wystawę nie mogliby sprzedawać cudniek choćby tylko tej jednej wycinanki, która uświetniała otwarcie wystawy, czy bursztynowych drobniaków wyrabianych przez towarzyszącego jej jantarnika? Nic, absolutna martwość koncepcyjna, muzealna mumia.

Także władze dotrzymały tradycji — nie było nikogo w wieczór otwarcia. Zabrakło również urzędników od kultury. Tego jednak Pan Adam był zwyczajny, smutne tylko, że opuścili go ci, którym przysługuje dystynkcja inteligencji.

ANDRZEJ JASION

NA ŁASKAWYM CHLEBIE



PRZESZŁOŚĆ

„wady” — upór, zamilowanie do rodzinnego kawałka ziemi (i świata), zachłanność w zdobywaniu środków dla swego dzieła i na nie (samemu dając, co miał i co żona wniosła w wianie), pycha podszeptująca, że to wszystko, co gromadzi, warte jest, aby trwać dłużej niż wiele innych ziemskich marności. A jak się przy tym wywyższył nad swoich ziomków? Jak ich namawiał do zabaw, wierszyki pisał o pięknościach ziemskich puszczy, Narwi i Pisy, dumne chwile z historii przywoził przed oczy, aby słowa „Polska”, „Polak”, „polskie” nie wytarły się, jak miedziana kopiejka, i by — podobnie — siłę swojskości zachowały słomkowe pająki, palmy wielkanocne, chaty drewniane, piękną miarą budowane, i sośny w kadziłańskim borze, i pnie bartne, wszystko — życie i śmierć — wypełnione własnymi radościami i smutkami. Czas od wieków uczłowieczony wysiłkiem, dzielnością, pracą i zabawą, rutyną i talentami przez pokolenia Kurpiów.

Można by długo podobną opowieść ciągnąć o Pana Adamowym dziele, świetną do takich myśli okazję daje wystawa „60 lat Skansenu Kurpiowskiego w

- ★ Do mieszkańców województwa łomżyńskiego i ostrołęckiego!
- ★ Do wszystkich Polaków, szanujących przeszłość i patrzących z troską w przyszłość!
- ★ Do naszych rodaków rozsianych po całym świecie!

PRZYCZYNNY SIĘ DO ROZWOJU MUZEUM — SKANSENU

W NOWOGRODZIE

Mija 60 lat od chwili jego utworzenia. Powstawał w wyniku długoletnich starań i zabiegów Adama Chętnika, wybitnego Polaka, naukowca i publicysty, który całe swoje pracowite życie poświęcił badaniu i dokumentowaniu bogactwa kultury, zwyczajów i obyczajów swej ziemi rodzinnej — Kurpiowszczyzny. Skansen w Nowogrodzie nad Narwią, pierwsza tego rodzaju prowadzona według wskazań nauki placówka w Polsce, stał się żywym pomnikiem ludu kurpiowskiego, jego miejsca w historii ojczyzny i znaczenia w kulturze narodowej. Rozbudowywany i wzbogacany przez dziesiątki lat przez swego założyciela, nie szczędzącego na to czasu ani własnych pieniędzy, został w czasie wojny niemal całkowicie zniszczony. Adam Chętnik przez kilkanaście ostatnich

lat życia z uporem odbudowywał ze zgłiszcz swoje muzeum, odtwarzał pieczołowicie pamiątki przeszłości — świadectwo kilku wieków życia i pracy puszczaaków.

Obecnie — w 20 lat po śmierci fundatora i odnowiciela skansenu — musimy wspólnie podtrzymać i rozwinąć jego dzieło. Wymaga tego interes kultury narodowej, nakaz zachowania jej dziedzictwa dla przyszłości pokoleń. Społeczny Komitet Obchodów 60-lecia Skansenu Kurpiowskiego im. Adama Chętnika w Nowogrodzie zwraca się z serdecznym apelem do zakładów pracy, instytucji, organizacji społecznych i osób prywatnych o wpłaty na rachunek: 45513-19153-132 w PKO w Łomży lub o darowizny w postaci dzieł sztuki, cennych przedmiotów użytkowych i książek.

Uczcijmy w ten sposób pamięć o wybitnym rodaku znad Narwi! Zgromadzone środki będą wykorzystywane na rewaloryzację i rozbudowę muzeum-skansenu w Nowogrodzie, na wspieranie kurpiowskiej sztuki ludowej, jak również na fundowanie stypendiów im. Adama Chętnika dla studentów wyższych uczelni, którzy podejmą pracę na terenie województwa łomżyńskiego i ostrołęckiego.

Znajac ofiarności mieszkańców rodzinnej ziemi Adama Chętnika, jak i innych regionów Polski, a także naszych rodaków za granicą — jesteśmy przekonani, że ten apel spotka się z życzliwym i hojnym przyjęciem.

Społeczny Komitet Obchodów 60-lecia Skansenu Kurpiowskiego im. Adama Chętnika w Nowogrodzie

POTV ARZ

(3)

Pojechałam wraz z panami na VI piętro budynku Komendy przy Wilczej. W pokoju poproszono mnie, abym usiadła, naprzeciw mnie usiadł jeden z panów. On milczał, więc zapytałam go: „O co chodzi i co mam wyjaśnić?” „Dowie się pani we właściwym czasie” — padła odpowiedź. No to już prawie wiem, że nie dowiem się przed, niż oni będą chcieli, i każde pytanie z mojej strony jest bezcelowe. Siedzieliśmy naprzeciw siebie i milczeliśmy, panowie się zmieniali, mijaly godziny. Po długim czasie weszło dwóch nowych panów i polecieli mi iść z sobą. „Gdzie” — spytałam. Padła ta sama odpowiedź: „Dowie się pani we właściwym czasie”. Postanawiam nie pytać się już o nic. Nawet myśleć nie miałam barzo o czym, bo nie widziałam w swoim życiu prywatnym czy pracy jakiegokolwiek sprawy, którą mogłaby zainteresować się Służba Bezpieczeństwa. Sprowadzili mnie na dół i znów jechaliśmy samochodem, tym razem — do szpitala przy ulicy Komarowa. Tam kazali lekarzowi pobrać mi krew na alkohol. W pierwszej chwili chciałam zaprotestować; nie prowadzę pojazdów, wykroczenia nie popełniałam, a wypicie paru kieliszków wódki we własnym domu trudno nazwać przestępstwem, ale już w następnej chwili pomyślałam, że mój protest nie zda się na nic, najwyżej spowoduje awanturę, w której nie miałabym żadnych szans. Zachowałam się więc zupełnie biernie. (Jak zobaczyłam po trzech miesiącach, czytając akta i wszystkie dołączone do nich dokumenty, wynik owego badania nie spełnił nadziei panów — był tak mizerny, że nie można mi było zarzucić hulańek w życiu prywatnym.)

Powróciliśmy na Wilczą i po paru godzinach powtórnie zawieziono mnie do szpitala przy Komarowa. Tym razem badał mnie laryngolog. Nie miałam żadnych podejrzeń, iż zostanę aresztowana, więc nie wiedziałam, że chodziło o to, aby laryngolog uznał mnie za zdolną do przebywania w areszcie (było to konieczną formalnością, ponieważ przebywałam na zwolnieniu chorobowym laryngologicznym). Wprawdzie tok postępowania ze mną i całkowite milczenie oraz obwożenie mnie po szpitalach jakoś mi się bardzo nie podobały, ale ani przez chwilę nie pomyślałam o aresztowaniu. Człowiek, który nigdy nie miał do czynienia z aparatem śledczym, nie orientuje się zupełnie w wykonywanych wokół niego czynnościach i jest absolutnie bezradny.

Tym razem po kolejnym powrocie na Wilczą przemówiono do mnie. Zapomniałam dodać, że w trakcie bytności u mnie w domu panowie prócz wspomnianych pieniędzy zabrali również wszystkie moje kalendarzyki i notesy. Jeden z ciągle zmieniających się zapytał mnie o parę nazwisk i telefonów z moich notatników. Odpowiedziałam, nie miałam żadnych racji do nieudzielania odpowiedzi.

Po pewnym czasie polecono mi oddać torbę, którą miałam przy sobie, do sprawdzenia. Zobaczywszy, że robią szczegółowy depozyt rzeczy znajdujących się w torbie, spytałam, czy jestem aresztowana, a jeśli tak, to z jakiego powodu.

„Nie aresztowana, zatrzymana — odpowiedziano mi — prokuratura i organa śledcze mają prawo zatrzymać każdego obywatela przez 48 godzin do wyjaśnienia.” „Wyjaśnienia czego?” — starałam się dowiedzieć. Na to pytanie, jak i na poprzednie, już nie otrzymałam odpowiedzi.

Sprowadzono mnie do aresztu, tak zwanego „dółka”. Bywałam tam bardzo często, ale w odmiennym zgoła charakterze. Wiele wezwań do pogotowia wpływa z aresztów, a szczególnie z Wilczej. Nieomal nie ma dyżuru, aby nie jeździło się do owego miejsca. Zwykle w trakcie naszej wizyty przyprowadzają nam aresztanta do pokoju badań, tak że bywając tam często, nigdy nie widziałam cel.

Cela była straszna. Wielkości około 7x6 kroków, zupełnie pusta, tuż przy drzwiach wejściowych zaczynał się betonowy podest, który wypełniał ją całą. U góry świeciła się bardzo ciemna żarówka, toteż panował zmrok. I to wszystko. Siedzieliśmy tam dwie doby. Nikt nie udzielił mi żadnych wyjaśnień. Do celi wciąż przyprowadzano nowe kobiety, były to zatrzymane alkoholiczki, zabrane z ulicy lub melin pijackich, brudne i zawżone, w nocy transport prostytutki. Na noc dawano każdej zatrzymanej koc i cienki materacyk, ale obejrzawszy ich stan sanitarny zrezygnowałam z tych „wygód”.

Dwie doby spędziłam siedząc w kucki oparta o ścianę, przykryta swoją kurtką. Ko-

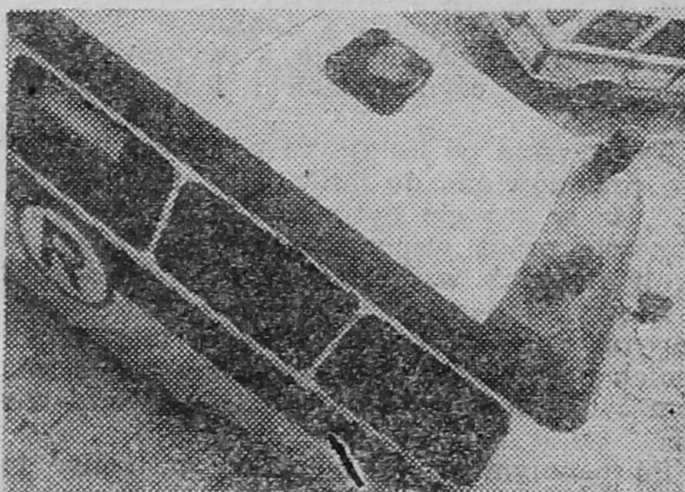


POTWARZ

rzystanie z WC też było nie lada problemem. Wprawdzie na pukanie milicjanci dyżurujący w areszcie wyprowadzali potrzebującą do toalety, ale brud był tam tak przeogromny, i mokro, że chcąc załatwić potrzeby fizjologiczne musiałam nogawki spodni podciągać aż do ud. Oczywiście o umyciu rąk mowy nie było. Krany śniące zimną wodą, bez kawałka mydła czy czegośkolwiek do wytarcia rąk.

Największym dla mnie problemem stały się papierosy. Jestem, niestety, nałogowym palaczem. Mogę obyć się bez jedzenia i picia, ale papierosy muszę mieć, tym bardziej w sytuacji stresowej. Mój niewielki zapas skończył się już pierwszego dnia. Miałam w depozycie aresztu ponad 4 tysiące złotych, lecz nikt nawet nie chciał słyszeć o kupieniu papierosów — tłumacząc się, że mój depozyt jest dla nich nienaruszalny. W tej sytuacji poratowały mnie prostytutki. Im kupowano papierosy bez większych kłopotów. Przyjechali po mnie pod koniec upływających 48 godzin i zawieźli do Komendy Stołecznej, znanej warszawiakom pod nazwą Pałacu Mostowskich. Wyszedłam na światło dzienne zmęczona, spragniona, a przede wszystkim przeogromnie brudna. Wprost czułam, że lepię się od brudu.

Na miejscu, w Komendzie Stołecznej, też nie od razu przystąpiono do sedna sprawy. Najpierw byłam wodzona bez celu z pokoju do pokoju, wreszcie zaprowadzono mnie do takiego, w którym siedzieli wszyscy znani mi (z chwilą aresztowania) panowie i jakaś młoda pani, która potem okazała się być prokuratorem. Spytano mnie, co mogę powiedzieć na temat wyjazdu z dnia 27 września na ul. Waryńskiego. Początkowo nie pamiętałam zupełnie tego wyjazdu, albowiem — jak wspominałam poprzednio — był on tak rutynowy, szary i niewyróżniający się niczym, iż nie sposób byłoby go pamiętać nawet następnego dnia. Mam jednak doskonałą, wprost fotograficzną pamięć sytuacyjną, związaną z danym miejscem. Powoli więc zaczęłam odtwarzać kolejne fakty. Zrekonstruowałam ramowy obraz wyjazdu, jednak szczegółów, o które usilnie wypytawali mnie panowie, odtworzyć nie mogłam, a nie chcąc podawać wiadomości nieprawdziwych, po prostu odpowiadałam zgodnie z prawdą, iż nie pamiętam. Wszystkie te najdrobniejsze szczegóły zaczęły odzywać w mojej pamięci znacznie później. Pani prokurator robiła wrażenie zupełnie niezainteresowanej sprawą i mechanicznie zapisywała moje zeznania, nie zadając mi żadnych pytań.



Wyprowadzono mnie i wprowadzono powtórnie po niedługim czasie. Prokurator oświadczyła mi, iż wydała w stosunku do mnie sankcję zastosowania aresztu tymczasowego, na początek na okres trzech miesięcy. Zupełnie do mnie owo oświadczenie nie dotarło, po prostu nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza i co za sobą pociąga. Podeknięto mi przed oczy pismo do przeczytania, które zaczęłam czytać najpierw machinalnie, a w miarę poznawania treści z coraz większym oburzeniem.

Pismo brzmiało: „Barbara Makowska, Wojciech Machalski — kierowca i Zbigniew Banasiak — sanitariusz, oskarżeni są o to, że w dniu 27 września 1983 roku w Warszawie, działając wspólnie, używając przemocy w stosunku do Stanisława Szpadrowskiego polegającej na przetrzymywaniu go za rękę przez Wojciecha Machalskiego, uderzeniu w głowę, uciskaniu za gardło i zatykaniu ust przez Zbigniewa Banasiaka oraz ciągnięciu za włosy w karetce pogotowia ratunkowego przez Barbarę Makowską-Witkowską, doprowadzili go do stanu bezbronności, a następnie zabrali w celu przywłaszczenia na jego szkodę portfel z pieniędzmi w kwocie 155 000 zł. to jest o czyn z art. 210 § 1 k.k.”

Teraz już nie oburzenie, lecz rozszadzała mnie wprost niepohamowana wściekłość. Jak to?! Po tylu latach nienagannej pracy, bez sprawdzenia jakichkolwiek szczegółów, okrywając hańbą moje dobre imię i nie podejmując najmniejszych kroków, aby ustalić prawdę?

BARBARA MAKOWSKA-WITKOWSKA

Copyright by Barbara Makowska-Witkowska

ZBLIŻENIA

Józef Jarominiak, wiceprzewodniczący WPZZ: — Nasze dzieci jeżdżą na Litwę już od 1983 r.; litewskie są u nas dopiero po raz drugi. Nie możemy zapewnić im tak atrakcyjnego wypoczynku jak nasi sąsiedzi (wiele wycieczek, turnus 26-dniowy), ale myślę, że nasza związkowa współpraca z czasem przyniesie lepsze efekty. Obie strony postawiły na kontakty, wzajemne poznanie się młodych ludzi. Od tego przecież zaczynają się małe, ale wierne przyjaźnie, których świadkiem byłem nie raz. Lzy przy rozstaniu, zapewnienia o pamięci i szybkich listach, no i świadomość, że poznaje się innych rówieśników, ich ojczyznę, kulturę, obyczaje. Wspomaga nas podczas tego rocznej akcji letniej Komitet Wojewódzki PZPR w Łomży, władze gminy Prostki oraz bezpośredni administrator ośrodka — Witold Waldziński, dyrektor Ośrodka Poczty i Telekomunikacji w Olsztynie.

Witold i Barbara Czerwińscy z Łodzi, z zawodu nauczyciele, kierują ośrodkiem od I turnusu: — Dzieci tak się ze sobą „wymieszają”, że nie sposób je „na oko” odróżnić. Może tylko litewskie są wyższe, bo nieco starsze od naszych; wiele z nich mówi po polsku lub rozumie, więc nie istnieje żadna bariera językowa. Praca daje nam dużo sa-

W Prostkach (woj. suwalskie) w ośrodku wypoczynkowym pracowników łączności okręgu olsztyńskiego, trwa 20-dniowy turnus kolonijny. 35 litewskich gości z trójką opiekunów z Wilna oraz 115 młodych mieszkańców województwa łomżyńskiego wiedzie beztrudnie życie. W programie m.in. bal przebierańców, kino, praca społeczna, konkurs plastyczny „Życie na kolonii”, bieg patrolowy, dzień polski i litewski (z regionalną potrawą), dyskoteki, wycieczki do Augustowa, Białegostoku, Warszawy. Podczas tegorocznych trzech turnusów Prostki ugoszczą 165 młodych Litwinów; tyle dzieci polskich odpoczywać będzie w republice przyjaciół.



LATO PO POLSKU

tysfakcji, gdy widzimy, jak tworzą się więzy przyjaźni. Bardzo dobrze pracuje nam się z kadrą litewską, która swoim zachowaniem daje przykład godny naśladowania także naszym dzieciom.

A jak czują się litewscy goście?

Regina Vingrienė, pracownik Republikańskiej Rady Związków Zawodowych Litwy: — Byłam już w Polsce prywatnie i z „Orbisem”, pierwszy raz opiekuję

się dziećmi na koloniach. Wszystko jest dla nas nowe i ciekawe, najlepsze, spontaniczne i serdeczne. Nasze dzieci są bardzo zadowolone, a my w pracujących tu ludziach znaleźliśmy prawdziwych przyjaciół. Myślę już o przyszłym roku; może uda mi się przyjechać znowu?

Danute Sablinskaite, przewodnicząca związków zawodowych pracowników oświaty: — W Polsce jestem po raz pierwszy. Bardzo ciekawia mnie żyjący tutaj ludzie i jestem zadowolona,

że mogę wyrobić sobie zdanie o Polakach na podstawie własnych doświadczeń. Czas upływa nam bardzo przyjemnie. Atmosfera gościnności i życzliwości sprawia, że chciałabym przyjechać do Polski jeszcze raz.

Viačeslav Nikolaidi, pracownik jednej z wileńskich fabryk: — Do Polski przyjechałam po raz drugi. Dopiero teraz mam okazję lepszego zwiędzenia waszego kraju. Bardzo dobrze współpracuje nam się z kierownictwem ośrodka. Myślę, że w przyszłości warto byłoby organizować wspólne obozy sportowe dla młodzieży polskiej i litewskiej, bo takie kontakty najlepiej sprzyjają przyjaźni.

Viktoria Valantavičiūtė, kl. VIII: — Zaraz po przyjeździe spotkała mnie miła niespodzianka: odwiedziły mnie koleżanki z Elku i Olsztyna, z którymi poznałam się na Litwie. W Augustowie bardzo podobał mi się Kanał i wycieczka statkiem.

Natalia Sunina, kl. X: — Wszystko mi się podoba: okolica, pokoje, w których mieszkamy, nowe koleżanki.

Egidijus Juška, kl. VII: — Nauczyłem się wielu słów po polsku, poznałem polskich kolegów. Najbardziej cieszę się z tego, że obok ośrodka jest stadion i przez cały dzień możemy grać w piłkę.

Elvira Grečenokaitė, kl. VII: — Nie mogłam się doczekać wyjazdu na kolonie. Pierwszego dnia zaprzyjaźniłam się z Ulką. Cały czas coś się tutaj dzieje. Nie mamy kłopotów z porozumiewaniem się: po polsku, rosyjsku i przy pomocy rąk.

Jurga Demereckaitė, kl. VIII: — Polacy i Litwini bardzo są do siebie podobni. Moda, sposób ubierania się dziewcząt w Polsce bardzo mi się podoba.

Dmitrij Nepomniaczi, kl. X: — Podoba mi się organizacja wypoczynku na koloniach a przede wszystkim wycieczki. (gab)



Latem, podobnie jak o każdej innej porze roku, można mnożyć przykłady karygodnej nieostrożności kierowców i pieszych.

Sześcioletni Michał R. z Piątnicy wyrwał się spod opieki jedenastoletniego brata Kamila i wybiegł na jezdnię wprost pod koła „malucha”, którym 38-letnia grażewianka jechała do Łomży.

Trzytyletni Grzegorz W. potrącił fioletem 126p osiemnastoletniego mieszkańca Grajewu, Wojciecha D. Dziecko również wbiegło wprost pod samochód.

19 lipca, tuż przed południem, mieszkaniec Krzewa Starego wracał wraz z żoną fioletem 126p do domu. Skracając z drogi w lewo, do swej posesji, nie przepuścił nadjeżdżającego z naprzeciwka „Nissana” Zdzisława K. z Opatowskiego. Samochody uderzyły na 2 miliony zł. Kierowca „malucha” wraz z żoną — zamiast do domu — pojechali do szpitala.

Prawdziwie czarna seria to wypadki drogowe z udziałem motocyklistów. W Pniewie 47-letni Franciszek W. wyjechał z drogi podporządkowanej i przy skręcie w lewo został uderzony przez motocykl CZ-350, którym kierował 16-letni Paweł Sz. z Pniewa, nie posiadający zresztą prawa jazdy. Paweł doznał otwartego złamania prawej nogi i ręki, a 20-letni pasażer motocykla, Krzysztof M. z Łomży — wstrząsu mózgu i złamania lewej nogi.

Nocą na skrzyżowaniu ulic Świerczewskiego i Turlejskiego w Łomży zderzył się motocykl z motorowerem, czyli 26-letni Zbigniew T. z 28-letnim Janem G., w efekcie czego motocyklista doznał złamania obojczyka. Motorowerzysta zaś zbiegł z miejsca wypadku i został przez milicję zatrzymany dopiero po pięciu dniach.

W Grajewie zła ciagnika wybiegła małe dziecko wprost pod motocykła Krzysztofa Z.

Uczeń trzeciej klasy technikum rolniczego, Dariusz W., na skrzyżowaniu ul. Łomżyńskiej i Nowogrodzkiej w Miastkowie zaczął wyprzedzać „malucha” z warszawską rejestracją, własnie skracającego w lewo. W wyniku zderzenia jadąca z Dukiem 19-letnia Beata K. złamała kość prawej stopy.

Jadący rowerem koło wsi Czyżew Ruś Kolonia 66-letni Lucjan K. na dźwięk sygnału motocykla obejrzał się za siebie i... zjechał na środek jezdni wprost pod „Jawę-350”, kierowaną przez 19-letniego Romana P. Roman ma tylko otarty naskórek, ale starszy pan — złamaną nogę i inne obrażenia.

Z KRONIK MO

W słoneczny dzień Jarek Z. jadący ul. Włocławską w Grajewie uderzył w zapórę drogową ustawioną na zakręcie. Wskutek wypadku doznał poważnych obrażeń ciała, m.in. pęknięcia tętnicy.

Przy drodze prowadzącej przez Bągoty Milczki znaleziono zwłoki mieszkańca tej wsi, Witolda D., który zmarł najprawdopodobniej wskutek ataku padaczkowego.

Ciało 56-letniego Mariana B. z Piątnicy odkryto w opuszczonym budynku przy ul. Szpitalnej. Było już w stanie rozkładu. Żywego B. widzieli znajomi osiem dni wcześniej. Można przypuszczać, że przyczyną jego śmierci było nadużycie alkoholu, co mu się zdarzało.

Jan S. ze Stawisk, karany za kradzież, tym razem pożytył od sąsieda rower wartości 18 tysięcy zł i odsprowadził go innemu, znajomemu za 5000. Nie będzie to jedyna strata, którą poniesie przy tej niecodiennej transakcji.

Sąd Rejonowy w Łomży w trybie przyspieszonym osądził 20-letniego Dariusza R. ze wsi Konopki Chude, pracującego w gospodarstwie rolnym swych rodziców, za to, że pewnej nocy z soboty na niedzielę dorobił sobie na odsprzedaży (tłacznej zwanej spekulacją) wino i piwo. Zapłacił 150 tysięcy zł grzywny.

Irena M., okradzona w sklepie przy ul. Ściegiennego z portmonetki na 7000 zł, natychmiast powiadomiła milicję, a funkcjonariusze ZOMO zatrzymali złodzieja — Kazimierza T., uprzednio karanego za kradzież. Dwa dni później prokurator aresztował również jego brata Michała, który zjechał z Białogostu do Łomży i na dworcu PKS okradł Marzenę W. z Mrągowa z 2400 zł i kartek żywnościowych.

Złodziej wylamał zamek w garażu Eugeniusza T. z miejscowości Szeplowo-Wawrzyniec, władał w jego fiolet 125 i odjechał w nieznane.

TELEGRAM TELEGRAM TELEGRAM SYKOMAT Ltd.

Systemy — KOMPUTERY — MATERIAŁY — TECHNOLOGIE
Zakłady Badawczo-Wdrożeniowe Sp. z o.o. ZK ZMW
(jednostka gospodarki uspołecznionej)
Warszawa, ul. Bema 65, tel. 32-08-09 telex 81-46-58

ZAPEWNIAMY:

- ☐ najniższe ceny w kraju,
- ☐ najwyższej jakości ujednolicony sprzęt komputerowy,
- ☐ najkrótsze terminy dostaw,
- ☐ bezpłatne oprogramowanie systemowe,
- ☐ dostęp do bogatej literatury.

oferuje dostawy minikomputerów

1. PC/XT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ płyta główna 640 KB RAM (4,77/8 MHz)
 - ▽ klawiatura, zasilacz, obudowa
 - ▽ karta Multi I/O
 - ▽ floppy 2×360 kB
 - ▽ karta Hercules
 - ▽ monitor monochromatyczny
 2 200 000
- 1a. Zestaw I w wersji z kartą CGA i monitorem „NEPTUN-156”
2. PC/XT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ zestaw I plus
 - ▽ dysk twardy 20 MB z kontrolerem
 3 450 000
3. PC/XT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ zestaw II plus
 - ▽ drukarka 15-calowa
 - ▽ koprocessor 8087
 4 800 000
4. PC/XT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ zestaw III w wersji z kolorowym monitorem i kartą CGA
 5 300 000
5. PC/AT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ płyta główna 640 kB RAM/6/8 MHz
 - ▽ klawiatura, zasilacz, obudowa
 - ▽ floppy 1,2 MB i 360 kB
 - ▽ dysk twardy 20 MB
 - ▽ kontroler FDD/HDD
 - ▽ karta Hercules
 - ▽ monitor monochromatyczny
 5 000 000
- 5a. Zestaw V z drukarką laserową
6. PC/AT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ zestaw V plus
 - ▽ drukarka 15-calowa
 - ▽ karta rozszerzenia 3 MB RAM
 - ▽ koprocessor 80287
 8 000 000
7. PC/AT TURBO w konfiguracji:
 - ▽ zestaw VI w wersji z monitorem i kartą EGA
 9 500 000
8. Amstrad/Schneider CPC 6128
 - ▽ z zielonym monitorem
 - ▽ z kolorowym monitorem
 710 000
950 000
9. Drukarki SG-15
10. Dyskiety 5,25" DS/DO firmy NASHUA
11. Dyskiety 3" firmy MAXELL

Na sprzęt komputerowy zakupiony w naszej firmie udzielamy rocznej gwarancji, zapewniamy odpłatny serwis pogwarancyjny. Dostawy realizujemy w terminie 7 dni od przyjęcia zamówienia.

Informacji udzielamy oraz przyjmujemy zamówienia w naszych zakładach:

- Zakład „AGROCOMPUTER” w Warszawie, ul. Bema 65, tel. 32-08-09, telex 814658
- Zakład „AGROCOMPUTER” w Poznaniu, ul. Warszawska 39/41, tel. 77-05-54
- Zakład „AGROCOMPUTER” w Gdańsku-Wrzeszczu, ul. Zawiszy Czarnego 18, tel. 41-40-55, telex 0512395
- Zakład „AGROCOMPUTER” w Krakowie, ul. Krakowskich 18, tel. 37-57-51
- Zakład Projektowania i Oprogramowania Systemów Informatycznych „SYKOMAT” Sp. z o.o., 00-920 Warszawa, ul. Nowy Świat 18/20, tel. 27-18-95, 27-92-51 w. 154, 26-94-21 w. 538.

ZAPRASZAMY

KONTAKTOWA NIE POCZEKA KUPUJ LOS BO CZAS UCIEKA

DYREKTOR LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO
w Goniądzu
ZATRUDNI

z dn. 1 września 1987 r. nauczyciela fizyki z wyższym wykształceniem. Zapewnia się mieszkanie M-3 z wygodami. Oferty należy składać pod adresem: Liceum Ogólnokształcące, ul. 1 Maja 18, 19-226 Goniądz, tel. 142. K-307

**ZAKŁAD
BUDOWLANO-REMONTOWY**
Spółdzielni Mieszkaniowej w Łomży,
ul. Konstytucji 3 Maja, tel. 42-38, w. 4
PROWADZI

do końca bieżącego roku stałą giełdę materiałową, na ogólną ilość pozycji asortymentowych 184 w następujących branżach:

- ★ ogólnobudowlana
- ★ samochodowa
- ★ elektryczna
- ★ sanitarna
- ★ wodno-kanalizacyjna
- ★ chemiczna

W giełdzie materiałowej mogą brać udział przedsiębiorstwa gospodarki uspołecznionej jak i osoby fizyczne.

K-306

**WOJEWÓDZKA DYREKCJA
INWESTYCJI
w Łomży**

ZAWIADAMIA

że ulica Nowogrodzka w Łomży będzie zamknięta dla ruchu (z wyłączeniem ruchu lokalnego) od 1987-08-15 do odwołania. Autobusy komunikacji miejskiej Nr 10 i zielonej linii „Bali” będą kursowały ulicami Sikorskiego i Wojska Polskiego.

K-294

OGŁOSZENIA DROBNE

- SPRZEDAM forteplan — antyk. Tel. 31-60. K-3228
- ZATRUDNIĘ krawcowe. Stobienia, Podleśna 37. K-3231
- DOM — sprzedam, Łomża, ul. Strzelców Kurpiowskich nr 31 (po godz. 17). p 850-00
- ZAGUBIONO prawo jazdy kat. ABT nr 0512/81 na nazwisko i imię Bogusław Skroboski. Miedoniszki Małe, 19-513 Zabin, gmina Banie Mazurskie. p 903-1
- ZAGUBIONO prawo jazdy kat. ABT na nazwisko i imię Zdzisław Fryderyk Gąsiorowo, 18-323 Zaręby Kościelne. p 870-1

K-292

kontakty

REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Henryk Gała, Wiesław Janicki, Maria Kaczyńska, Alicja Niedźwiecka, Jan Oniszczyk, Stefan Ostrowski, Witold M. Patoka, Gabriela Szczepańska, Władysław Tocki, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Fotoreporter: Gabor Lörczy. Redaktor graficzny: Stanisław Kędziawski. Redaktor techniczny i korekta: Elżbieta Słupska i Jolanta Pawluk. **STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:** Alicja Basta, Czesław Brodzicki, Adam Dobroński, Krzysztof Dworniczak, Bronisław Gołębiowski, Wiesław Kołowski, Piotr Kuncewicz, Krzysztof Kurianluk, Jan Kwasowski, Andrzej Podulka, Marek Polański, Adam J. Socha, Waldemar Szpaliński, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak, Alicja Zagórska. **KONCEPCJA GRAFICZNA** — Marek Goebel.

ADRES REDAKCJI: 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7. Telefony: 42-43, 42-44 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), 34-95 (administracja). Telex: 85-22-85. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Białostockie Wydawnictwo Prasowe — dyr. mgr Romuald Łazarowicz, 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne — dyr. mgr Witold Sadowski, kierownik Oddziału Gazet i Czasopism — Stanisław Fajst Zam. 1229/87 r. Nakład 18.700 egz. PL ISSN 0208 6840 Nr indeksu 36 328. Ogłoszenia przyjmują Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel. 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności. Prenumerata kwartalnie — 260 zł, półrocznie — 520 zł, rocznie — 1040 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. W-5

Raport Klubu Rzymskiego z 1982 r. stwierdza, że tzw. druga rewolucja naukowo-techniczna wywrze większy wpływ na rozwój cywilizacyjny świata niż pierwsza. O ile bowiem tamta zastąpiła wysiłek fizyczny pracą zmechanizowaną, to obecna wypiera mózół umysłowy sprawnością urządzeń elektronicznych, czyniąc to w sposób wszechstronny, doskonały i niezawodny. Tą drugą rewolucją jest mikroelektronika z mikroprocesorem na czele.

Mikroelektronika — to miniaturyzacja w elektronice i jeszcze coś więcej. W definicyjnym sformułowaniu jest „dziedziną nauki i techniki zajmującą się zminiaturyzowanymi układami elektronicznymi, realizowanymi w postaci scalonej, przy całkowitym lub częściowym braku elementów indywidualnych”. Podstawowym elementem są układy scalone, których technologia wytwarzania, rozwija się wyjątkowo dynamicznie. Pierwsze układy scalone z początków lat sześćdziesiątych zawierały kilkanaście elementów w pojedynczej strukturze o powierzchni kilku milimetrów kwadratowych. Następnie w każdym roku liczba elementów w układzie podwajała się. Miara złożoności układu jest tzw. stopień scalania, zwany też skalą integracji. Po kolejnych: małym, średnim, dużym, mamy już czwarty stopień scalania: bardzo duży (VLSI) — ponad 100 000 elementów w pojedynczej strukturze.

W rozwoju elektroniki półprzewodnikowej można wyróżnić trzy etapy wyznaczane kolejnymi osiągnięciami myśli twórczej: wynalezienie tranzystora w 1948 roku, uruchomienie produkcji układów scalonych w 1960 r., rozpoczęcie produkcji układów scalonych wielkiej skali integracji (LSI) w 1970 r.

Prawdziwą rewolucję w mikroelektronice wywołało wprowadzenie do produkcji miniprocessora w 1972 roku. Znana jest wypowiedź Stuarda Madnicka: „Gdyby przemysł samochodowy rozwijał się tak dynamicznie, jak elektronika w ostatnich trzydziestu latach, to «Rolls Royce» kosztowałby obecnie 2 do-

lary i można by nim przejechać 2 mln mil, zużywając galon benzyny”. Rzeczywiście żaden inny produkt w

wielkie dni

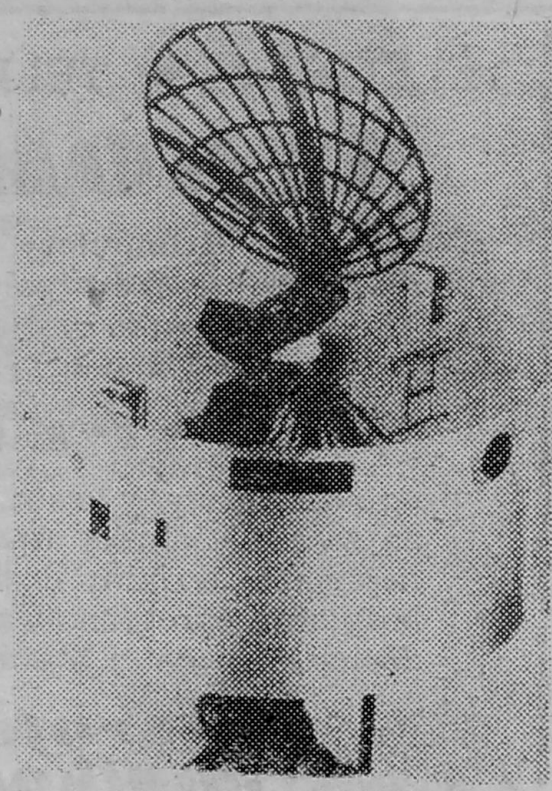
MIKROPROCESORA

historii ludzkości, może z wyjątkiem soli kamiennnej, nie wykazał takiego spadku cen.

Gdy w 1970 roku typowy układ scalony małej skali integracji zawierał 50 tranzystorów na powierzchni krystalu 4 do 10 milimetrów kwadratowych, a obecnie układy wielkiej skali integracji mają kilkadziesiąt tysięcy tranzystorów na powierzchni krystalu 15 do 40 milimetrów kwadratowych, to cena układu scalonego wzrosła proporcjonalnie do powierzchni jego struktury kilka razy, ale cena jednego składowego tranzystora zmalała kilkaset razy.

Mikroelektronika zawdzięcza swój rozwój także i temu, że nie założono i nadal nie żałuje się, groza na badania i prace rozwojowe. W 1960 r. tranzystor kosztował 10 dolarów, dziś koszt jednego bitu (bo tak zwykło się określać cenę porównywalne układów scalonych) wynosi 0,1 centa, a w przyszłym roku będzie to już 0,01 centa.

Warto wspomnieć, że łączna wartość produkcji sprzętu elektronicznego w świecie wynosi ponad



Fot. CAF

12 proc. wartości całkowitej produkcji dóbr materialnych. Wartość ta wzrasta rocznie o 15 proc., a więc podwaja się co 5 lat. W Polsce wartość produkcji tego sprzętu wynosi nieco ponad 2 proc. wartości całkowitej wytwarzanej przez przemysł.

A jakie mamy korzyści z jej stosowania? Elektroniczna centrala telefoniczna jest o 15 proc. lżejsza od centrali elektromechanicznej. Silniki prąk sterowanych elektronicznie zawierają 20 proc. mniej stali i miedzi, a przy tym zużywają 15 proc. mniej energii. Skomputeryzowana obrabiarka daje oszczędność 3 kg stali wysokiej jakości na 1 kW mocy przenoszonej przez przekładnię. Elektroniczna automatyka procesów spalania daje 15 proc. oszczędności w zużyciu paliwa. Elektroniczna napęd elektryczny transportu kolejowego zmniejsza zużycie energii o 20 proc. Wreszcie wydajność pracy. Ekonomisci USA twierdzą, że szerokie wprowadzenie mikroprocesorów może spowodować wzrost wydajności pracy aż o 90 proc. rocznie. (dłk)

miejsce w środku

Rynek czytelniczy wzbogacił się o bardzo interesujący okaz. Nie dość, że wyszedł z podziemia, to jeszcze własnością prywatną. W czerwcu ukazał się pierwszy numer miesięcznika „Res Publica”, firmowanego przez spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością o tej samej nazwie. Pismo wychodziło dotychczas w drugim obiegu i fakt przedarcia się do obiegu oficjalnego stanowi precedens w dziejach naszego czasopiśmiennictwa.

We wstępnych artykułach — manifestach pismo przedstawia się jako trybuna zdrowego rozsądku, pomost między zwaśnionymi stronami i, w ogóle, jako polityczne centrum. To akurat nie nowego, bo ktokolwiek u nas zechce publicznie zabrac głos, prezentuje się od razu jako przedstawiciel środka; znacznie mniej chętnych mamy natomiast do ataku ze skrzydeł. W każdym razie srodek ten musi być niezwykle pojemny, skoro obejmuje dziś tych, których jeszcze wczoraj uważano za wujujących daleko na lewej i prawej ilance. Po prostu czasy się zmieniają.

Autorzy-założyciele „Res Publici” zapowiadają unikanie akademicko-moralizatorskich rozważań i skierowanie uwagi na podstawowe sprawy życiowe. Związczą denerwują ich spory według schematów: romantyzm — pozytywizm, komunizm — rewizjonizm, Dmowski — Piłsudski. Istotnie, śledząc publicystyczne utarczki ostatnich siedmiu lat, odnosi się wrażenie, że albo czas się u nas zatrzymał na trzeciej dekadzie dwudziestego wieku, albo pisują wyłącznie spirytyści, wywołujący duchy przodków.

Skład kolegium redakcyjnego świadczy o ogromnym potencjale intelektualnym pisma, lecz wydaje się — wbrew programowym obietnicom — wręcz stworzony do teoretycznych rozważań. Tworzą go bowiem m.in. rektor Uniwersytetu Warszawskiego Grzegorz Białkowski, znany krytyk literacki Jan Błoński, historyk Emanuel Rostworowski, socjolog Jerzy Szacki, publicysta związany z „Tygodnikiem Powszechnym” Stanisław Stomma i — współpracujący dotychczas z prasą katolicką — redaktor naczelny Marcin Król.

Zresztą, autorzy nie kryją przywiązania do wartości kultury chrześcijańskiej. W zespole redakcyjnym też aż roi się od historyków, filozofów, krytyków literackich, pisarzy, poetów. Nie więc dziwnego, że teksty z pierwszego numeru, nawet przy najlepszej woli, trudno określić jako omawiające „proste sprawy życiowe”. Mamy za to eseje literackie i filozoficzne, poezję, dzienniki Mieczysława Jastruna, dyskusję historyków o dawnej Litwie, wywiad z niedawno zmarłym radzieckim reżyserem Andriejem Tarkowskim; za najbliższy problemom „doczesnym” można uznać co najwyżej szkic o gospodarce chińskiej, niezbyt zresztą odkrywczy. Marcin Król pisze, iż nie ma nadziei, że wyroby jego zespołu trafią pod strzechy, lecz: „do normalnego, brzydkiego domu polskiego, w którym coraz częściej książki zastępują w kredensie kryształ”. Ejże, redaktorze, nie tak łatwo trafić do kredensu Polaka, zwłaszcza z „magazynem intelektualnym”. Czytelnik ma już serdecznie dość akademickich rozważań, tym bardziej że ma na rynku dostęp do „Więzi”, „Znaku”, „Odry”, „Zdania”, „Zarządzania” i „Literatury na świecie”, miesięczników z dużymi tradycjami i wysokim poziomem. Jeszcze raz okazało się, że łatwiej jest składać deklaracje o nowym spojrzeniu na rzeczywistość niż znaleźć ludzi, którzy potrafią się spełnić. Może tym razem się uda — przecież to dopiero pierwszy numer. (jon)

„Res Publica”. Wydawca: „Res Publica” Sp. z o.o. Na razie tylko w prenumeracie.

SWIAT PELEN TAJEMNIC

sięgnęła prawdopodobnie celu, bo potwór w konwulsjach skrył się w wodach oceanu.

Od tamtego wydarzenia, a miało ono miejsce w maju 1917 r., coraz częściej na łamach gazet gościły relacje o domniemanych spotkaniach z wężem morskim.

12 grudnia 1964 roku Robert Le Serrec, francuski podróżnik i fotograf, wraz z żoną, Raymonde, i tro-

„Moje serce biło mocniej niż kiedykolwiek przedtem — opowiadał na łamach australijskiego czasopisma „Everybody's Magazine” Le Serrec. — Muszę przyznać, że przestraszyłem się nie na żart. Gdyby stworzył w agresywnym nastroju, czy też po prostu wpadł na nas, nasza krucha łódka rozpadłaby się na kawałki.”

Le Serrec odwiózł dzieci na ląd i... wraz z żoną i nurkiem postanowił z powrotem zbliżyć się do bestii! Droga w obie strony zajęła im 15 minut, lecz potwór nie zmienił swego położenia. Dopiero, teraz spostrzegł białą plamę na jego grzbiecie — coś jakby wielką ranę. De Jong wskoczył do niewielkiej łódki holowanej za ich motorówką i odważnie powiosłował w stronę tajemniczego stworzenia. Gdy dzieliło ich zaledwie kilkanaście metrów, Le Serrec włączył swoją kamerę filmową... Bestia ani drgnęła.

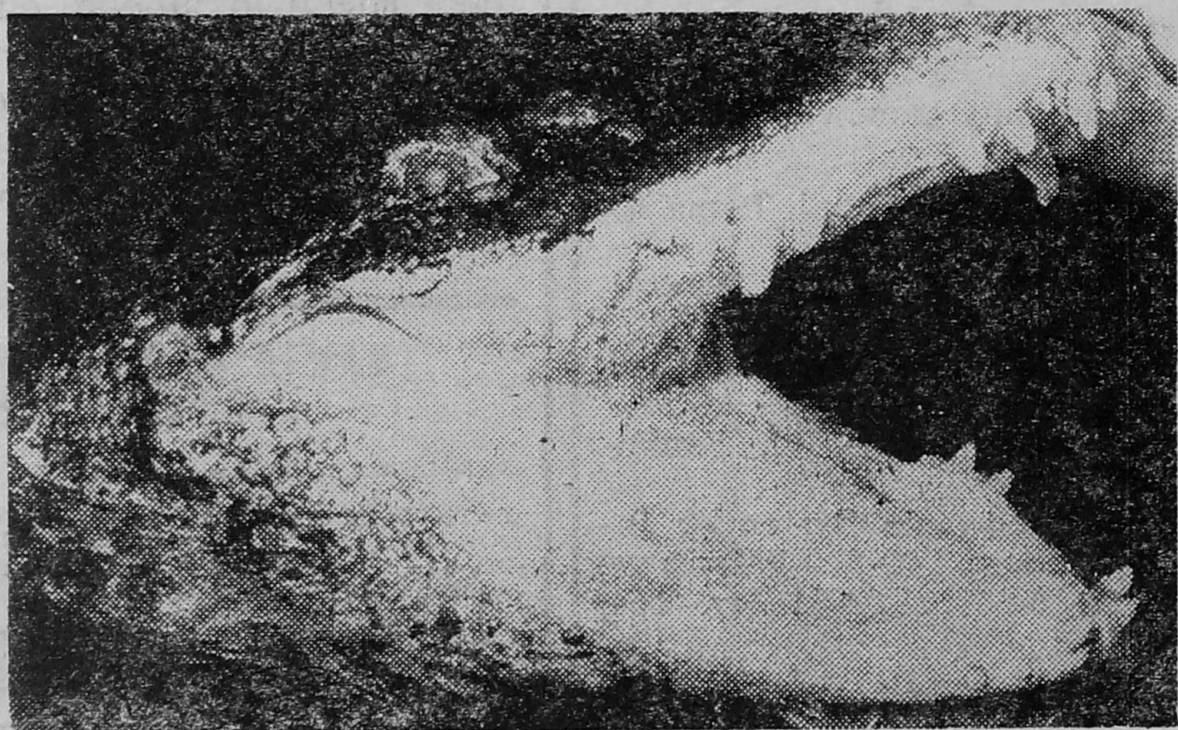
„Postanowiłem pozostawić Raymonde w motorówce i wraz z Henkiem zejść pod wodę, by zbadać i sfilmować zwierzę z bliższej odległości. Z faktu podobieństwa białych plam do otwartej rany wywnioskowaliśmy, że stworzenie jest martwe [...]. Ponieważ potwór leżał na piaszczystym dnie, nie potrafiliśmy określić koloru jego części brzusznej. Miał 21 metrów długości [...]. Skóra była koloru czarnego, ale występowały też brązowe pierścienie, szerokie na 30 centymetrów, powtarzające się co 1,5 metra; pierwszy z nich zaczynał się tuż przy głowie.”

Le Serrec uruchomił ponownie kamerę i... głowa potwora uniosła się z piasku. Paszcza otworzyła się kilkakrotnie. Stwór powoli odwracał się w kierunku obu śmiatków...

„Płynęliśmy w szaleńczym tempie do łodzi. Raymonde była śmiertelnie przerażona, widząc potwora na powierzchni, tuż za plecami, natychmiast włączyła motor.”

Gdyby nie zdjęcia, można by całą historię uznać za kawał primaprilisowy. Sylwetka człowieka w łódce (de Jong), a tuż obok zarys wielometrowego, tajemniczego cielska — publikowana była w wielu czasopiśmie naukowych (m.in. „Science Digest”). (dłk)

mieszkańcy



Fot. CAF

głębin

giem dzieci oraz młodym nurkiem z Sydney, Henkiem de Jongiem, wypłynęli łodzią motorową na kilkaset metrów od brzegów Hook Island. Nagle ujrzeli wielki, ciemny kształt, spoczywający tuż pod powierzchnią wody. Z początku sądzili, że jest to pień drzewa, lecz gdy zbliżyli się na kilkanaście metrów, dostrzegli wielką głowę i ciało, przeszło 20-metrowej długości. Potwór nie poruszał się. Obserwatorzy, nieco zaszokowani, ostrożnie wyminęli potężne cielsko.

rogi czy uszy, i była czarna, z wyjątkiem części przedniej, którą przecinała biała pręga [...]. W miarę jak zbliżaliśmy się, głowa unosiła się dwa lub trzy razy, zwracając się wyraźnie w stronę statku [...]. Stwór poruszał się jak wąż — wszyscy byliśmy co do tego zgodni. Zdaniem oficera dyżurnego, porucznika F.C. Harrisa, rzeczywista długość sztyi stworzenia wynosiła 6 metrów, a całkowita długość zwierzęcia sięgała około 18 metrów — tak relacjonował to spotkanie dowódca HMS „Hillary”, kapitan F.W. Dean. „Hillary” oddalił się o 1200 metrów od zwierzęcia, ustawił bokiem i... otworzył ogień. Trzecia salwa do-



CZWARTEK 13.08.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Gra pozorów” — film fab.
21.40. „Teraz” — tyg. gospodarczy.
22.10. „Abym człowiekiem chodził między ludźmi” — film dok. TVP.
22.25. „W cieniu lata”.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. Magazyn sportowy „As”.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Poznaj swój kraj.
20.00. Salon muzyczny: recital due-
tu Banasik — Zubek.
20.50. Program rozrywkowy.
21.15. Ekspres reporterów.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Najlepszy kolega” — nowela
film. TVP.
22.10. Cztery razy Kraków: „Piwni-
ce Krakowa”.
22.40. Studio Dni Kultury Morskiej.
23.05. Wieczorne wiadomości.

PIĄTEK 14.08.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik.
20.00. „Ada” — jug. film fab.
21.40. „Lex” — magazyn prawny.
22.10. Studio Sport.
22.40. DT — Komentarze.
23.05. „Z historii Wietnamu” — fran.
film dok. (odc. ostatni).

Program 2

18.30. Magazyn „102”.
19.30. Poznaj swój kraj.
20.50. „Uwaga, dokument”.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy z Gerardem Philipem:
„Czerwone i czarne” (cz. II).
23.40. Wieczorne wiadomości.

SOBOTA 15.08.87

Program 1

9.00. Dla młodych widzów: „Timur
i inni”.
10.40. Stare, nowe, najnowsze.
12.10. Reportaż z przeszłości.
13.00. W świecie ciszy.
14.00. „Kosmos coraz bliżej” — fran.
film dok.
15.00. Na krawędzi słowa.
15.20. Antologia dramatu powszech-
nego: Mikołaj Gogol — „Gracze”.
17.15. Teleexpress.
17.40. Popołudnie z „Pegazem”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Z kamerą wśród zwierząt.

19.30. Dziennik.
20.00. „Był jazz” — pol. film. fab.
21.40. Czas.
22.40. Sportowe rytmy tygodnia.
23.20. DT — Wiadomości.
23.30. Kino Nocne: „Szalony Henry”
— film fab. NRD.

Program 2

15.00. „Ostatnia wola profesora Do-
wella” — radz. film fab.
17.00. Dla dzieci: „Przygody naszych
ulubieńców”.
18.30. Adam Mickiewicz — „Pan Ta-
deusz”, ks. X: „Emigracja. Jacek”.
19.30. Alfa i Omega.
20.00. Stanisław Moniuszko — 4 Li-
tanie Ostrobramskie.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy Stanisława Barei: „Mał-
żeństwo z rozsądku”.
23.15. Wieczorne wiadomości.



NIEDZIELA 16.08.87

Program 1

9.00. Kino „Teleferii”.
10.30. DT — Wiadomości.
10.35. Filmowe obserwacje świata:
„Ziemia białych skał”.
11.25. Siedem anten.
12.10. „A na polach żniwa” (I).
13.20. Koncert życzeń.
14.05. „A na polach żniwa” (II).
15.15. „W rytmie disco” (3) — serial.
17.15. Teleexpress.
17.30. Studio Sport.
18.20. Antena.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik.
20.00. „Blisko, coraz bliżej” — serial
TVP.
21.10. „Pegaz”.
22.35. Sportowa niedziela.
23.05. DT — Wiadomości.

Program 2

9.30. Przegląd tygodnia (dla niesły-
szących).
14.20. Jutro poniedziałek.
15.25. Wideoteka.
16.00. „Kino-Oko”.
18.00. Zbliżenia, czyli to i owo o filmie.
19.00. Wywiady Ireny Dziedzic.
19.30. Utwory Franciszka Liszta gra
Grzegorz Jastrzębski.
20.30. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Mazarin” (I) — serial fr.
23.10. Studio Dni Kultury Morskiej.

PONIEDZIAŁEK 17.08.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. Teatr TV: Henryk Bardijew-
ski — „Zaczniemy się śmiać”.
21.05. Żniwa'87.
21.15. Rozmowa na telefon.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Sponsor” — teleturniej.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Gwiazdy wielkiego sportu.
20.00. XX Polski Festiwal Skrzypco-
wy im. Grażyny Bacewicz.
21.45. Biografie: „Walcący samo-
tnik” (2) — film dok.

WTOREK 18.08.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.30. Dziennik.
20.00. „Pod wiatr” (7) — serial au-
stralijski.
21.05. „Jan Smeterlin” — film dok.
21.35. „W cieniu lata”.
21.50. „Robię filmy o miłości” —
Radosław Piwowarski.
22.20. „Laureaci” — film dok.
22.40. DT — Komentarze.

Program 2

18.30. „Ryzyko” — teleturniej.
19.00. Magazyn „102”.
19.30. Poznaj swój kraj.
20.00. W obronie własnej.
21.30. Panorama dnia.
21.45. Filmy Oldricha Lipsky'ego:
„Tajemnica zamku w Karpatach”.
23.20. Wieczorne wiadomości.

ŚRODA 19.08.87

Program 1

17.00. „Wakacje”.
17.15. Teleexpress.
17.30. „Wakacje”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Gra o milion.
19.30. Dziennik.
20.00. XXIV Międzynarodowy Festi-
wal Piosenki — Sopot'87 (I).
21.30. Żniwa'87.
23.25. DT — Komentarze.
21.50. Sopot'87 (II).

Program 2

18.30. „ABC” — teleturniej.
19.00. Magazyn „102”.
20.15. „Kajakiem w Himalaje”.
20.45. Studio Sport.
21.30. Panorama dnia.
21.45. „Krajobraz w bieli” — norwe-
ski film fab.

Zobaczcie koniecznie

W sobotę, 15 sierpnia, film Felik-
sa Falka „Był jazz”. Twórca „Wo-
dzireja” (1977) i „Idola” (1984) sięga
tym razem do czasów stalinowskich,
zafascynowany muzyką zakazaną w
tym okresie — jazzem. Na przeło-
mie lat czterdziestych i pięćdzie-
siątych, po krótkim okresie swobo-
dy dla jazzu (popularne były or-
kiestry Glena Millera i Benny Good-
mana), zaczęła „obowiązywać” w na-
szym kraju wyłącznie muzyka lu-
dowa i pieśni masowe. Jazz zszedł
do podziemia. Akcja filmu nawią-
zuje do najtrudniejszych chwil słyn-
nego łódzkiego zespołu „Melomani”,
stworzonego przez Jerzego Matusz-
kiewicza. Muzyka jazzowa w filmie
Falka jest wartością określającą je-
go bohaterów, posłużyła również ja-
ko symbol zjawisk kulturowych,
które nie poddają się żadnym za-
kazom. Bohaterowie postanawiają
grać jazz zawsze i wszędzie, nie
zwracając uwagi na konsekwencje
(program I, godz. 20.00).



„Meteor” Ciechanowiec: 13—16.08.
— „Karatecy z kanionu Złotej Rze-
ki”, chiń., od 1. 15; 18—19.08 —
„Wielka majówka”, pol. od 1. 15.

„Roma” Grabowo: 13—14.08. —
„Och, Karol”, pol. od 1. 15; 15—16.08.
— „Podróż do Indii”, ang. od 1. 12;
18—19.08. — „Braterstwo krwi”,
węg., od 1. 18.

„Relax” Grajewo: 15—17.05. —
„Ucieczka z Alcatraz”, USA, od 1.
18; 18—19.08. — „Konopielka”, pol.,
od 1. 15.

„Oaza” Jedwabne: 15—16.08. —
„Yesterday”, pol., od 1. 15; 19—20.08.
— „Człowiek z marmuru”, pol., od
1. 15.

„Wrzes” Kołno: 13—15.08. —
„Ucieczka w noc”, USA, od 1. 18;
16—17.08. — „Zygfryd”, pol., od 1.
15.

„Millenium” Łomża: 14—18.08. —
„Tajemnica pani Wong”, radz., od 1.
12.

„Październik” Łomża: — 16—18.08.
— „Jezioro Bodeńskie”, pol., od 1.
15.

„Naprzód” Mały Płock: 16—17.08.
— „Sceny dziecięce z życia prowincji”,
pol., od 1. 18.

„Saturn” Stawiski: 13—14.08. —
„Zostańmy razem”, węg., od 1. 15;
15—16 i 18—19.08. — „Indiana Jo-
nes”, USA, od 1. 15.

„Awangarda” Wąsosz: 15—16.08.
— „Szalony kankan”, CSRS-austr.,
od 1. 15.

„Wars” Wysokie Mazowieckie:
14—16.08. — „Purpurowa róża z
Kairu”, USA, od 1. 15; 18—20.08.
— „Głupcy z kosmosu”, ang., od 1.
12.

„Kosmos” Zambrów: 14—17.08. —
„Galopem przez pusztę”, węg.-USA,
od 1. 15; 18—19.08. — „Anna i wań-
pir”, pol., od 1. 18.

Wyrazy szczerego współczu-
cia

chor. poż. ANDRZEJOWI
MAJEWSKIEMU

z powodu zgonu

O J C A

składają:

współpracownicy KRSP
i ZSP Łomża.

K-313

Wyrazy głębokiego współczu-
cia z powodu śmierci

T E Ś C I A

koleżance HANNIE
MAJEWSKIEJ

składają:

współpracownicy z Przy-
chodni Rejonowej nr 1
w Łomży.

K-3240

z tygodnia na tydzień



SPORT

LEWA KASA

Tygodnik „Piłka Nożna” w nume-
rze 27 zamieścił artykuł Bogdana
Skiby „Jak powstaje lewa kasa?”
Niewtajemniczonym należy się wy-
jaśnienie. Naukowa definicja „lewej
kasy” brzmi: „pieniądze znajdujące
się poza ewidencją oficjalnych klub-
owych ksiąg finansowych. Prościej
— są to pieniądze, których oficjalnie
nie ma, a które są (np. na prywat-
nej księżeczce jednego lub kilku naj-
bardziej zaufanych działaczy lub w

domowej szafie jednego działacza).
„Lewa kasa” zapewniają najczęściej
pieniądze pochodzące ze sprzedaży
„lewych biletów”, czyli takich, z
których klub nie rozlicza się przed
nikim. Dzięki „lewej kasie” mamy
możliwość przeżycia na finiszu roz-
grywek ligowych „niedziel cudów”
czy sprzedaży meczów i premiowa-
nie zawodników za przebrane spot-
kania. Artykuł red. Skiby jest te-
oretycznym wykładem dla klubów,
które na pomysł „lewej kasy” jesz-
cze nie wpadły. Spróbujmy przenieść
tę teorię na grunt łomżyński.

Na mecz ŁKS-u przychodzi 100 o-
sób, z czego 20 to członkowie klub-
u, mający wstęp wolny, 10 —
uczniowie młodszych klas szkół pod-
stawowych, od których sumienie nie
pozwala brać forsy za wstęp, 40 —
młodzież kupująca bilety ulgowe, 30
— dorośli.

zawody strzeleckie KOR, w których
uczestniczyli reprezentacje klubów
oficerów rezerwy z województw:
olsztyńskiego, ciechanowskiego, bia-
łostockiego, suwalskiego, ostrołęckiego,
warszawskiego i łomżyńskiego.
W klasyfikacji generalnej zwyciężył
Olsztyn przed Ciechanowcem, War-
szawą, Białymstokiem, Łomżą, Su-
wałkami i Ostrołęką. Indywidual-
nie, w dwuboju, wygrał Stanisław
Wasik z Ciechanowa przed Władysławem
Dychą i Waldemarem Hoczykiem —
oba Olsztyn. W trójboju zwyciężył
również Stanisław Wasik przed Walde-
marem Hoczykiem (Olsztyn) i Dariuszem
Masiewskim z Warszawy.

W konkurencji „pojedynek strze-
lecki” drużyny z naszego regionu
były również bardzo gościnne i od-
dały czołowe lokaty przyjeźdnym.
Zwyciężył Ciechanów przed Warsha-
wą, Olsztynem, Łomżą, Białymsto-
kiem, Suwałkami i Ostrołęką.



chem Niedzielskim i Kazimierzem
Stankiewiczem. Dalsze miejsca za-
jęli: IV. Józef Tyrtania, V. Jan O-
koński, VI. Waldemar Matela, VII.
Stefan Szczeniński, VIII. Zbigniew
Sulima, IX. Tadeusz Kubasiński, X.
Jan Rachubka.

Puchary dla najlepszych drużyn i
nagrody za zwycięstwa indywidual-
ne ufundował organizator — Zarząd
Wojewódzki LOK w Łomży.

W sobotę, 1 sierpnia, również na
strzelnicy w Grajewie rozegrano

organ samojętny
pod redakcją
Wiesława Jagiełły

komaszachty

sztuka kochania

WEDŁUG
OWIDIUSZA

Niektórzy z kochanków mogą
źle wyjść, do ustępstw
przywyklszy
Miłość bez współzawodniczeki
niektórym się z dziewic
przykryzy.
Niewielka szczypta zazdrości
dla gnuśnych nie jest
szkodliwa.
Niech więc od czasu do
czasu
twa luba zazdrośną bywa.

Pytasz, jak długo ją można
pozostawić w tej boleści?
Odpowiem ci: niezbyt długo.
Zaciętym jest gniew
niewieści. [...]

Placz jej ostudź całowaniem
i czary pieszczoty słodkiej.
Uspokoi się. Wszak nie ma
nic lepszego nad te środki.

A jeśli ją ogarnia
gniew zaciektu, gniew
plomienny,
jeżeli pomiędzy wami
zapanuje stan wojenny —

Ułagodź jej zawziętość
po onym okrutnym boju,
bylebyś umiał na tożu
podpisać traktat pokoju...

Tam mieszka spokojna zgoda,
tam przebaczenie się rodzi,
tam kochanek wszelkie dasy
bardzo łatwo ułgodzi.



Rys. Henri Matisse

Nasz człowiek wysłany do Japonii wytrzeszczył oczy, kiedy mu powiedziano, że na sto tysięcy samochodów wyprodukowanych przez firmę „Daihatsu” najwyższe pięć sztuk ma jakieś poważniejsze usterki. Matematyk może sobie obliczyć, że daje to 0,005 proc. całej produkcji!

Informacja taka ma pewno załamać obywatela pochodzącego z kraju, w którym Fabryka Samochodów Osobowych, produkująca mniej więcej rocznie dwa razy mniej maszyn, zatrudnia dwadzieścia razy więcej pracowników, zaś procent samochodów rzeczywiście dobrych — o ile w ogóle coś takiego, co się tam produkuje, można nazwać samochodami — powoli lecz nieuchronnie zbliża się do zera.

wieści ponadgminne

Ale mniejsza o samochody, bo w gruncie rzeczy nie o nie przecież chodzi. Chodzi o stałe trendy charakteryzujące rozwój postępu cywilizacyjnego narodów świata. Podczas gdy inne idą do przodu, my cofamy się bez przerwy. Nasze towary i pieniądze są coraz gorsze, praca coraz niechlujniejsza, perspektywy coraz smutniejsze i mniej wyraźne. U progu nowego tysiąclecia kalendarz jakby się nam odwrócił. Tylko patrzeć jak wkroczymy w wiek dziewiętnasty...

KOMENTATOR

KIERUNEK

socklerykalizm

W SZTUCE (TYGODNIA)

KONKURSOWA TYGODNIA ZAWISZAKIEM

PODOBIENSTWO

Bóg na podobieństwo swoje
Stworzył tylko pierwszych dwoje.

POWALENI

Bez serca i bez ducha,
Gdy zwali z nóg siwucha.

ZIMNO

Zamiast na dostawy węgla wciąż się żalić,
Czy nie lepiej by komuś dać w końcu popalić?

O OBROTACH

Tych, co wykręcają się wciąż od roboty,
Czas już najwyższy wziąć znowu w obroty.

CHWIEJNY

Mówi, że w pracy pić się nie stara,
Lecz zawsze chwiejny jest — w zamiarach.

Nota biograficzna: patrz „Ekstrapocztą”.



Rys. Henryka Cebuli

PODREDAKCYJNA EKSTRAPOCZTA

Motto:
Dobrze czy źle,
byle dużo.

Szanowna Redakcjo!

Pisanie aforyzmów, wierszy i fraszek to hobby, które uprawia wielu ludzi, natomiast publikowanie ich w „Konszachach” to przyjemność. Samo zamieszczenie prac jest dużym osiągnięciem i mam nadzieję, że dobór ich nie sprowadza się do wyciągnięcia z redakcyjnego kosza na chybił-trafił, a nawet metodą sierotki. Myślę, że trochę zwracacie uwagę na to, co się pisze i jak się pisze, gdyż w przeciwnym wypadku trudno byłoby stwierdzić, czy nasze amatorskie prace mają w Waszych oczach jakieś takie uznanie i czy warto pisać licząc na przypadek? Ponieważ jak wiadomo „Konszachach” nie płać za pisanie, dlatego umieszczanie naszych prac powinno być oceną tego, co się przysyła i jednocześnie (jako satysfakcja) formą honorarium, bo na czym konkurs polega?

Z poważaniem

Zb. STANISŁAW
KATARZYŃSKI
Zambrów
ul. Poświętne 52

W TYM TEMACIE



Z URZĘDOWEGO PISMA DO PETENTA

„[...]” tak więc nie można określić jednoznacznie, że urzędnik zawinął w sprawie jednostkowego potraktowania przez siebie zgłaszającego się obywatela, ponieważ obywatel ten nie powinien podnieść swoim głosem dochodzić swoich racji, nawet gdyby były one słuszne, gdyż jest to sprzeczne z socjalistyczną moralnością wynikającą z naszych pryncypiów ustrojowych. W konsekwencji naganę nie udzielono urzędnikowi, zwrócono mu tylko uwagę, aby przykładał więcej staranności do kontaktów z petentami w godzinach pracy.

Na powyższe wyjaśnienie obywatelowi przysługuje odwołanie do władz w terminie ustawowo przewidzianym przez kompetentne organy.

Sekretarz Urzędu Gminnego w [...]”

(adres znany pod redakcją)

kryzysowe jedno danie

W związku z poprawą zapotrzebowania na rynku od następnego tygodnia podawać będę jedno danie wykwinne, typu: banany w masie perłowej, łabędź w szarym sosie itd. itp. A póki co, dzisiaj życzę wszystkim — smacznego!

GOSPODYNIA

swawolnik

Hrabina Branicka z Białocerkiewszczyzny poszukiwała bibliotekarza. Dała więc ogłoszenie do prasy, na które zgłosił się pewien student. Hrabina nie podając mu, oczywiście, ręki, zapytała w trzeciej osobie: — Francuski posiada?

— Posiada.

— Angielskim włada?

— Włada — brzmi odpowiedź.

— To niechże siada — powiada łaskawie hrabina.

— Kiedy nie może — odpowiada kandydat na bibliotekarza.

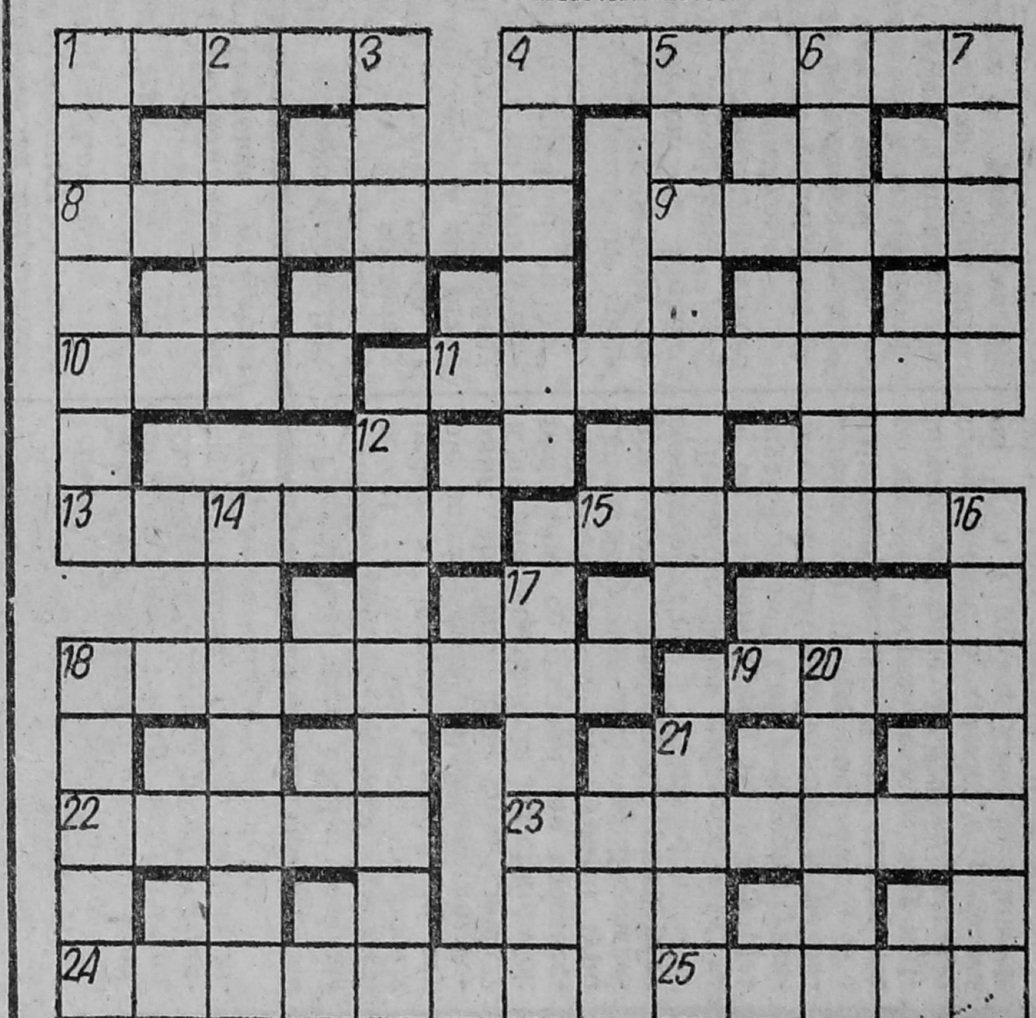
— Dlaczego?

— Bo go dupa boli.

UNIWERSALNA WRÓŻBA TYGODNIA

Kto miał, ten ma, kto nie miał, ten nie ma i mieć nie będzie. Jeśli należysz do tej drugiej kategorii ludzi, również w tym tygodniu nie masz na co liczyć.

KASSANDER



POZIOMO: 1) wawóz, jar, parów, 4) aneuryzm, 8) do rozwiązywania, 9) załoga łodzi wioślarskiej, 10) słynny włoski komik filmowy, 11) przychodnia lekarska, 13) grzyb jadalny, 15) gra z bilami, 18) zajęcie długodystansowca, 19) ptactwo domowe, 22) surowiec na cegły, 23) wynik mnożenia, 24) sędziwy mężczyzna, 25) narzędzie do korowania drzew.

dalekiej północy, 5) maszyna do tłoczenia, 6) dawna, oboczna nazwa kursywy, 7) fiasko, niepowodzenie, 12) naczynie na atrament, 14) w oku, 16) naczynie na napoje, 17) letni miesiąc, 18) potrawa z kwaszonej kapusty z kawałkami mięsa, 20) pewność siebie, śmiałość, 21) rodzaj koszulki lub gra sportowa. (HCL)

Wśród Czytelników, którzy w ciągu 10 dni nadesłali prawidłowe rozwiązanie, rozlosujemy nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 30/87

POZIOMO: szok, ocet, łańcuch, upór, Zala, mówca, zamek, Zadar, ido, rów, ser, połów, akron, datek, maik, Lule, benefis, kier, Azja. PIONOWO: szum, ołów, karcz, Ica, oczar, trak, pójdzka, Lelewel, Aaron, zawód, dół, poker, Walia, amok, Ribe, tusz, Kena, leń.

Nagrody za poprawne rozwiązanie krzyżówki wylosowali TADEUSZ CZARNOWSKI (Wysokie Mazowieckie), BOŻENA JAWORSKA (Niewodnica), GRAŻYNA ŁOSINSKA (Wałbrzych).